

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



SZEŚĆ HEKTARÓW POD OGNIEM

NR 4 (1207) ROK XXIV

25 STYCZNIA 1981 R.

CENA 3 ZŁ

MAŁGORZATA GOLICKA

WYBORY

— Do auli im. Sottana dojdzie pani tymi schodami — wyjaśnia uprzejmie szatniarka ze znaczkiem „Solidarności” w klapie.

— Dziękuję, znam Politechnikę.

W hallu sprawdzanie nazwisk delegatów, zwykła wyborcza procedura. 328 osób reprezentuje 2.441 członków Związku z całej Uczelni. W drzwiach porządkowi z mialo-czerwonymi opaskami na rękawach. Na ścianie, pod Godłem Państwa, powiększone, tak dobrze znane, odręcznie napisane słowo „SOLIDARNOSC”. Po prawej stronie, gdzie zwykle podczas inauguracji roku akademickiego stoją poczt sztandarowe, na tablicy fragment wiersza Miłosza: „Który skrzywdziłeś człowieka prostego”.

Sprawozdanie z działalności Komitetu Założycielskiego jest krótkie i zwięzłe. Ten sam styl dominuje w większości wystąpień. Reakcja na wyświechtane, puste słowa, czy tęsknota za prostotą?

A zatem: od 23 września ub. roku do 10 stycznia br. zwołano, co następuje: powołano 52-osobowy Komitet.

Dalszy ciąg na str. 6

TYM GORZEJ DLA FAKTÓW

Rozmowa z historykiem
prof. dr MARIĄ TURLEJSKĄ

— Zdaje się, że Pani doświadczenia osobiste i rodzinne miały wpływ na zainteresowanie historią najnowszą?

— W jakimś stopniu — na pewno. W czasie studiów byłam członkiem Niezależnego Związku Młodzieży Socjalistycznej (NZMS), który współpracował z OMS „Życie”. Wydawaliśmy wspólnie dodatek do „Robotnika”, organu Polskiej Partii Socjalistycznej pt. „Walka Młodych”, kolportowaliśmy go razem. Bojówki ONR tłukły nas w czasie tych akcji. „Życiowcy” to byli komuniści, myśmy się z nimi nie we wszystkim zgadzali, ale oni nam imponowali, byli nielegalni, więziono ich, wysyłano do obozu w Berezie Kartuskiej. Nim poznałam mojego przyszłego męża — Janka — wiedziałam o nim od innych, z opowiadań, że wspinały się na wieże, że dzielny i odważny, że odsiaduje dwuletni wyrok w łomży. Poprzedziła go legenda, oddziałująca na wyobraźnię dwudziestoletniej studentki, bardziej niż tom dzieł Lenina i Stalina, którymi towarzysze z „Życia” przekonywali mnie o racjach komunistów.

Dalszy ciąg na str. 6-7



Foto: P. Jaskow

Wszystkich nas emocjonowała płonąca ropa z szybu Daszewo i koło Karlina. Martwiliśmy się wspólnie, czy szybko ugaszą tę ropę, czy zamiast spalać się bezproduktywnie zacznie wreszcie płynąć do rafinerii. Aż wreszcie się stało. Płonącą ropę ugaszono. Na odwiert założono prewenter i niedawno pierwszy transport karlińskiej ropy dojechał do rafinerii w Trzebinie.

W akcji gaszenia płonącej ropy z szybu Daszewo i brali też udział łódzcy strażacy. O tamtych pełnych emocji i napięcia dniach i nocach wspominają: kapitan **IGNACY SCIBIOREK**, porucznik **MAREK PLOTICA** i kapral **MAREK KOBIAŁKA**.

I. SCIBIOREK: — Nie byliśmy tam sami. W akcji ratowniczej, obok pożarników radzieckich, brali udział strażacy z 9 województw: Koszalin, Gdańsk, Szczecin, Opole, Katowice, Wrocław, Poznań, Warszawa i my, z Łodzi. Nasza grupa liczyła 40 osób. W sumie w akcji gaszenia wzięło udział 360 strażaków i 65 samochodów.

Dlaczego wybrano właśnie te a nie inne ośrodki? Dlatego, że są to duże i silne ośrodki, dysponujące doświadczoną i dobrze przygotowaną kadrą. I również dlatego, że uszczuplenie łódzkiej straży o 40 osób nie jest groźne, gdyż pozostali koledzy znakomicie poradzą sobie z groźnym pożarem, gdyby tu wybuchł. Ale na szczęście nic się takiego nie stało. Również w innych ośrodkach.

M. PLOTICA: — A poza tym Łódź zalicza się do jednych z lepiej przygotowanych ośrodków pożarniczych.

M. KOBIAŁKA: — Chętnych było więcej niż mogło pojechać.

M. PLOTICA: — Chociaż wszyscy wiedzieli, że nie jest to wycieczka, a udział w bardzo niebezpiecznej akcji. W takich akcjach nikt jeszcze u nas nie brał udziału.

I. SCIBIOREK: — Przygotowani byliśmy już do wyjazdu przed 20 grudnia ubiegłego roku. Tak wszystko było obmyślane, że w dwie godziny od alarmu cała ekipa musiała wyruszyć do Koszalina.

M. PLOTICA: — A tu święta. Każdy chce gdzieś pójść. Musi więc zostawić adres, gdzie jest i jak go można wezwać. Nie były to najspokojniejsze święta. Znaczenie lepszy był Sylwester. 31 grudnia otrzymaliśmy rozkaz wyjazdu 2 stycznia. Mieliśmy być w Koszalinie o godzinie 17.00.

M. KOBIAŁKA: — A byliśmy o 16.55.

I. SCIBIOREK: — Pożegnano nas bardzo uroczysto. Dostaliśmy kwiaty. Długo się później utrzymaliśmy. Zakwaterowano nas w miejscowości Sarbinowo. Mieszkaliśmy tam 11 dni. Ale naprawdę wypaliśmy się tylko raz, pierwszej nocy. Mieszkaliśmy w domu wczasowym. Warunki były

Dalszy ciąg na str. 3

JACEK INDELAK

co się kołacze w ludzkiej /2/ pamięci

HISTORIĘ ZAPRÓSZYŁ
POPIÓŁ

— Kiedyś nie było tutaj ronda — mówi Maria Smela, mlejskowska pielęgniarka. — Pocho-
dzą z Urzeczka, skąd razem z
mamą w dzieciństwie na odpu-
sty do Soboty przychodziliśmy.

Pamiętam, że na rynku był
bruk, opadający do środka,
gdzie stała stara karczma, a
wokół rynsztoki, błoto, smród,
drewniane, walące się domki.
Na placu rozstawiali swoje
stragany kramarze. Mnóstwo
tego było, nie to, co teraz. Te-
raz to kpiny, a nie odpust. A
karczma? Spaliła się. Resztki

rozebrali. GS ma podobno taką
samą tu stawiać, słyszałam...

Cisza, spokój, zastój. Tylko
ptaki hałasują w koronach
drzew, okalających sobocki ko-
ściół. Tylko momentami, kiedy
drzwi otwarte, rusesie się w
skwer pijany gwar ciasnego i
brudnego baru „Fod Bzurą”.

Nagle nad placem rozlega się
tupot i świergot gromadki uc-
niów, wracających ze szkoły.
Przystają na chwilę obok ław-
ki, pewnie im do domów nie-
spieszno.

— Kolego, kto to był Zaw-
sza, którego imieniem ten plac
jest nazwany? — Zadziorny
blondynek wzrusza ramionami.
Wzruszenie ramion następne,
kolejne. — Ja wiem, proszę pa-
na! — podnosi dwa palce dzie-
czynka z myślimi ogonkami,
wychylającym się spod wółcz-
kowej czapki. — To taki polski
rycerz, co dzielnie bił się pod
Grunwaldem. Na imię miał
Artur!

Dalszy ciąg na str. 3

JERZY URBANKIEWICZ

Aleksandra Kamińskiego —legenda dzielności

Nadstawiamy ucha nie tylko na plotki, które
uzupełniają luki w serwisach informacji. Łowi-
my też mądre słowa i myśli, myśli — klucze,
myśli — wytrychy do zagmatwanej rzeczywisto-
ści. Są takie. Trzeba ich również szukać na
obszarach do niedawna zakazanych, albo łagod-
niej: niechętnie widzianych. Należy do nich bo-
gaty piśmiennictwo Aleksandra Kamińskiego.
Tak, to ten, co napisał „Kamienie na szaniec”.
Książka ważna, bo była jednym z tych ciół-
ków, które w najgorszym mroku okupacji skutecz-
nie rozwalają siłę wroga, choć uderzały bez
stali i trotylu. Ważna, bo około 350 tysięcy
egzemplarzy, wydrukowanych w dziesięciu wy-
daniach, wiąże nazwisko autora z tytułem w
sposób tak nierozdzielny, jak nierozdzielnie po-
wiązały się w dziejach ludzkiej kultury naj-
większe dzieła z nazwiskami twórców. „Kamie-
nie na szaniec” przesłoniły przeciętnemu czy-
telnikowi postać tego wychowawcy, pisarza, uc-
zonego i jego ogromny dorobek, utrwalały
drukem. W dorobku tym tkwi wiele prawd,
których nam dziś brakuje rozpaczyliwie. Pisał
jeszcze przed wojną, a powtórzył w powojen-
nych „Narodził się dzielność”. „Człowiek dziel-
ny, dzielny w pracy zawodowej, dzielny w ży-
ciu codziennym, dzielny w gospodarowaniu, w
poczynaniach społecznych — powinien stać się

Dalszy ciąg na str. 11

JUŻ POŁ WIEKU dziesiątą rocznicę Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego. Z tej okazji w salach muzeum 21 stycznia otwarto wystawę jubileuszową. Wystawa stanowi przekrój 50-letniej działalności placówki. Zawiera zbiory archeologiczne, etnograficzne i numizmatyczne, prezentuje dzieło muzeum od momentu jego powstania aż po dzień dzisiejszy, przypomina ludzi, twórców i organizatorów placówki.

DOROCZNA NAGRODĘ im. Przecława Smolika ufundowało Stowarzyszenie Twórców Kultury w Łodzi. Nagroda będzie przyznawana za dzieło, realizację lub działania służące edukacji narodowej w duchu humanizmu socjalistycznego. Nagrodę za rok 1980 otrzymali: Andrzej Chodakowski i Andrzej Zajackowski — reżyserzy filmu „Robotnicy 80”.

OGŁOSZONO WYNIKI konkursu na radiowy reportaż literacki o tematyce społeczno-obywatelskiej. Konkurs zorganizowano pod patronatem Naczelnej Redakcji Programów Literackich i Publicystyki Kulturalnej Polskiego Radia. Miano donieść, że wśród nagrodzonych znalazł się łódzianin — Józef Wojciechczyk, który otrzymał jedną z dwu równorzędnych nagród za monolog.

KRONIKA KULTURALNA

W MINIONYM TYGODNIU mieliśmy okazję obejrzeć dwa monodramy. W Klubie Środowiska Kultury ŁDK pokazano monodram nagrodzony pierwszą nagrodą na festiwalu łódzkim. Autorką jest Anna Stronka, monodram nosi tytuł „Partner”. Jego wykonawcą był aktor Teatru Powszechnego w Warszawie — Andrzej Grawiech.

Teatr Uniwersalius natomiast pokazał przedpremierowy pokaz monodramu Ryszarda Błogoskiego „Salon” w wykonaniu Ireneusza Karamona.

W BIEŻĄCYM ROKU, podobnie jak w latach poprzednich w Teatrze Lalek „Arlekin” prowadzona jest akcja pt. „Ferie w „Arlekinie”. Patronat nad tegoroczną akcją objął Komitet Założycielski NSZZ „Solidarność” przy Teatrze Lalek „Arlekin”. W ramach akcji odbywają się spotkania z aktorami oraz wycieczki do Muzeum Łalki.

W KLUBIE ŚRODOWISKA KULTURY ŁDK odbyła się 19 stycznia przedpremierowa projekcja filmu pt. „Wzłaz lokalna”. Na pokazie „obecnym” był reżyser filmu Filip Bajon, który po projekcji spotkał się z widzami.

18 STYCZNIA w Muzeum Historii Ruchu Robotniczego Oddział na Raągowszczyźnie otwarto nową wystawę czasową „Martyrologia i walka w sztuce”. Na wystawie swoje prace prezentują tacy plastycy jak: Stefan Justa, Tadeusz Roman, Henryk Pilech, Wiesław Garbowski, Eugeniusz Groto-Słepkowski, Benon Liberski i Krystyna Liberska. Wszystkie wystawione obrazy nawiązują tematycznie do lat okupacji.

DO 28 STYCZNIA czynna będzie wystawa przed kilkoma dniami w Domu Kultury przy ZPB im. F. Dzierżyńskiego „Eskimo” wystawa malarstwa Ryszarda Kaczmarek i Andrzeja Opalko.

W MUZEUM POLSKIEJ WOJSKOWEJ SŁUŻBY ZDROWIA WAM (Zeligowskiego 77) czynna jest wystawa czasowa pt. „Służba Zdrowia Oddziałów ONZ na Białym Wschodzie”.

W MUZEUM HISTORII RUCHU REWOLUCYJNEGO obecnie można wystawić pt. „Razem z robotnikami całej Rosji”.

W GALERII SZTUKI (Wólczańska 31/33) czynna jest wystawa malarska Józefa Wasiołka.

PRZED KILKOMI DNAMI obradował w Łodzi X Okręgowy Zjazd Delegatów Związku Nauczycielstwa Polskiego Pracowników Oświaty i Wychowania. Zjazd poprzedzony został konferencjami sprawozdawczo-wyborczymi ZNP pracowników Oświaty i Wychowania w gminach, miastach i dzielnicach. Na zjeździe podjęto wiele spraw nurtujących od dawna środowisko nauczycielskie. W zjeździe wzięli również udział: prezes ZG ZNP pracowników Oświaty i Wychowania — Kazimierz Piliński, sekretarz KŁ ZPP — Jerzy Grabowski oraz wiceprezydent miasta Łodzi — Zbigniew Polt.

Zjazd wybrał nowe władze okręgu łódzkiego: 30-osobowy Zarząd Okręgu ZNP oraz 7-osobową komisję rewizyjną. Prezesem został Janusz Leszczyński.

ZA NASZYM POŚREDNICTWEM Biblioteka Uniwersytecka w Łodzi zwraca się z prośbą do wszystkich instytucji i urzędów publikujących różnego rodzaju druki o pomoc w gromadzeniu książek, plakatów, druków ulotnych itp. Egzemplarze dostarczane do biblioteki służą będą zarówno do bieżącej informacji jak i archiwizacji dla potrzeb miasta. Bliższych informacji o sposobie przekazywania darów na rzecz biblioteki udzieli Oddział Gromadzenia Zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej, ul. Matejki 34/38.

STEFANIA DZIĘCIELSKA-MACHNIKOWSKA UWAGI W SPRAWIE TRZECIEJ ZMIANY

Wypowiadałam się już („Trybuna Ludu”, 20, 21, XII 1980 nr 303) na temat nocnej pracy kobiet, i jeżeli ponownie podejmuję problem, to dlatego, że to co powiedziałam nie zostało odnotowane. Podejmuję ten problem również i dlatego, ponieważ sądzę, że jest on niezwykle ważny i aktualny w Łodzi, mieście o bardzo wysokim współczynniku zmianowości, wynikającym z ciągłej dominacji przemysłu lekkiego, ale także ponieważ aktualnie sprawa rozwiązywania problemu wolnych sobót budzi wiele niezadowolenia społecznego. Sądzę, że właśnie w przemyśle lekkim, te dwie sprawy (nocna praca i wolne soboty) należy rozpatrywać łącznie. Opowiadam się za rozwiązywaniem branżowym, ponieważ nie cały przemysł lekki pracuje na 3 zmiany, jak również nie wszyscy łódzianie, to pracownicy przemysłu lekkiego.

Generalnie w bieżącym stuleciu, a także i wiele lat w wieku XXI nie ma możliwości likwidacji w ogóle nocnej pracy, a w tym likwidacji pracy kobiet, ze względów organizacyjnych i technicznych. Pracownicy wielu działów gospodarki narodowej będą jeszcze przez wiele lat musieć pracować lub pełnić służby w nocy. Nie można zlikwidować nocnych dyżurów w służbie zdrowia, komunikacji, łączności, energetyce, w służbach bezpieczeństwa, jak straż pożarna lub straż wojskowa, podobnie, jak w branżach o ciągłym procesie technologicznym. Istnieje jednak pilna konieczność likwidacji nocnej pracy tam, gdzie decydują o niej jedynie względy ekonomiczne.

Nocna praca kobiet w przemyśle lekkim — jest realizowana wbrew zasadom przyjętym w bardzo wielu krajach, i to także kapitalistycznych. Już w pierwszym ćwierćwieczu XX wieku uznano, że kobiety nie powinny być zatrudnione w pracy nocnej w przemyśle. Taki stosunek podyktowany był przekonaniem, że kobiety zamężne stanowiące decydujący odsetek zatrudnionych w przemyśle, łącząc role rodzinne z zawodowymi są szczególnie obciążone i dla dobra samych kobiet, dzieci, a także dla dobra rodziny, w której integralną część stanowią mężczyźni, kobiety nie powinny pracować w nocy. Socjalizm jest i musi być ustrojem, w którym najwyższym dobrem jest człowiek, jest formacja, która musi działać na rzecz ludzi, a nie jedynie w myśl racji szerszego zbudowania potencjału ekonomicznego kosztem ludzi, kosztem zdrowia i życia aktualnych pokoleń. Socjalizm jest ustrojem, w którym dobrobyt nie może być budowany wyczerpującą pracę jednego pokolenia na rzecz drugiego — koszty jednej części pracowników na rzecz drugiej, jednej części Polaków na rzecz innej ich części, nie mogą pokoleń kobiet swoim życiem budować dobrobyt pokoleń przyszłych. Socjalizm jest u-

strojem, w którym sukcesywnie należy rozkładać ciężar doganiania krajów wysoko rozwiniętych, i to nie kosztem wzmoczonego wysiłku ludzkiego, ale organizacji i techniki produkcji.

Nie będę przytaczała argumentów ekonomicznych, ani próbowała uzasadniać, że likwidacja nocnej pracy kobiet w części przemysłu lekkiego ostatecznie nie będzie tak groźna dla gospodarki. Dużo groźniejsza jest nierównowaga i brak umiejętności kierowania gospodarką. Nie chciałabym przytaczać argumentów społecznych na uzasadnienie konieczności likwidacji nocnej pracy, ponieważ są one znane i niejednokrotnie były wymieniane, zarówno przez socjologów, jak i przedstawicieli innych dyscyplin. Wszystkie argumenty sprzeczające się do jednego. Kobiety powinny żyć w warunkach umożliwiających im pełnienie ról rodzinnych, wychowywanie dzieci, organizowanie życia emocjonalnego rodziny. Do tego są potrzebne nie tylko warunki materialne, ale i intelektualne i psychiczne. Kobiety — nie mogą ponosić kosztów ideologii o siedmiu boleściach — narzuconej przez tych, którzy żyją w zupełnie innych, niż one warunkach, przez tych, którzy dla swoich kobiet tworzą warunki dobrobytu, kosztem innych. Kobiety — muszą mieć czas na wypoczynek — szczególnie na zgodnym z normami fizjologicznymi czas snu, na wypoczynek zgodny z indywidualnymi gustami i potrzebami. Praca nocna — przekreśla zupełnie takie warunki.

Z badań prowadzonych w różnych zespołach wynika, że część kobiet opowiada się za utrzymaniem pracy 3-zmianowej; nad czym nie można przejść do porządku dziennego.

Jakie są argumenty za utrzymaniem nocnej pracy:

- 1) obawa przed utratą pracy,
- 2) obawa przed koniecznością zmiany miejsca pracy,
- 3) obawa przed koniecznością zmiany zawodu,
- 4) obawa przed utratą zarobków — nocna praca jest wyżej wynagradzana,
- 5) obawa przed utratą czasu dla siebie.

Zaczynam omawianie problemu od kocha. Znam i narastające trudności, a czasem wręcz tragiczną sytuację w zaopatrzeniu (myślę o takich okresach, w których brakowało ziemniaków i chleba) w podstawowe artykuły żywnościowe powoduje, że kobiety — w znacznym stopniu odpowiedzialne za wyżywienie całej rodziny, a w tym także małych dzieci lub chorych i starych członków rodziny, powoduje, że kobiety za wszelką cenę, a więc cenę czasu snu, odpoczynku, zdobywają środki żywnościowe i czas, kiedy wracają do domu po nocnej zmianie przeznaczają na uciążliwe i długotrwałe zakupy. Obawa przed utratą czasu dla siebie silnie występuje u kobiet zamężnych, posiadających

małe dzieci, aniżeli u starszych lub osób samotnych. Nie jest rzeczą normalną, aby w okresie po-koju, ludzie borykali się z takimi trudnościami, ale ponieważ jest to okres głębokiego kryzysu sytuacja taka, jak każdy kryzys nie może być trwała — a przynajmniej tak trwała jak okres życia ludzkości. Zatem likwidacja nocnej pracy, przygotowywana dziś, przeprowadzona jutro — spowoduje, że czas tracony na stanie w kolejkach, będzie mógł być właściwie wykorzystany.

Nie istnieje w naszych warunkach sytuacja utraty pracy w ogóle, jest to dla mnie sprawa oczywista. Nie ma groźby bezrobocia i tego nie powinien się bać robotnik, wypowiadając się przeciw likwidacji pracy w nocy. Istnieje zagrożenie koniecznością zmiany miejsca pracy, co niekiedy może być nawet korzystne, bo może sprzyjać skróceniu czasu dojazdu do pracy oraz zagrożenie koniecznością zmiany zawodów. Dla kobiet młodych, konieczność zmiany miejsca pracy, czy nawet zawodu nie jest dolegliwością znaczącą, ponieważ ludzie młodzi są bardziej ruchliwi w sensie społecznym. Może to stwarzać problemy dla kobiet starszych, ale sądzić należy, że właśnie dobrze zorganizowane przesuwanie nadwyżek ludzi do pracy może tę dolegliwość ograniczać do minimum.

Istnieje pilna potrzeba uświadomienia konieczności przechodzenia do pracy w usługach. Z prowadzonych badań wynika, że do usług chętniej przeszłyby kobiety młode i im przede wszystkim trzeba stworzyć perspektywę pracy w usługach, przełamać opory o charakterze psychologicznym, a nie ekonomicznym. Sądzę, że istnieją także sposoby, aby rekompensować straty w wynagrodzeniu z tytułu pracy nocnej — dużą szansę widzę w dobrej organizacji pracy. Przypuszczam, że wkrótce opracowane zostaną założenia likwidacji pracy nocnej w różnych bran-

żach przemysłu lekkiego. Najważniejszą sprawą jest jednak przekonanie o słuszności likwidacji nocnej pracy osób zainteresowanych, jak również pozostawienie sprawy do ich decyzji.

Co zatem proponuję? Proponuję podpisanie konwencji nr 89 — o likwidacji pracy nocnej kobiet w przemyśle — z zastrzeżeniem, że decyzję ostateczną podejmą zakłady, czyli swobodę dokonania wyboru. Jestem przekonana, że związki zawodowe, są w stanie przeprowadzić narady, zebrać opinie i w sposób demokratyczny pozwolić zakładom na podjęcie ostatecznej decyzji. Jeżeli w jakimś zakładzie, a może nawet jego części, ludzie zdecydują, że chcą pracować na 3 zmiany, nie należy im tego utrudniać. Nie wolno uszczęśliwiać ludzi na siłę.

Sądzę, że przejście na pracę 2-zmianową stworzy warunki do dalszego postępu w zakresie organizacji pracy, a więc pracy na 1/2, czy 2/3 etatu, pracy w ruchomym czasie, czy pracy według zasady realizacji zadań, a nie tylko przebywania 8 godzin w zakładzie. Jestem przekonana, że wiele norm produkcyjnych mogłoby być wykonanych w krótszym czasie i wówczas pracownicy mogliby iść do domu, albo pracować dłużej, pobierając dodatkowe wynagrodzenie. Takie rozwiązania istnieją na świecie, a jeżeli nie są w pełni wykorzystane, a u nas wręcz odrzucone, to nie jest to dowód na to, że są one złe.

¹⁾ Zakaz zatrudniania kobiet w nocy wprowadzony był w Polsce ustawą z dnia 2 lipca 1924 roku, i uchylony po zakończeniu II wojny światowej.

Międzynarodowa Organizacja Pracy konwencją nr 4 z 1919 roku, wprowadziła zakaz nocnej pracy kobiet. Konwencje 41 i 89 nowelizowały tę zasadę, ale nie zostały one podpisane przez władze PRL.

NAGRODY M. ŁODZI

Laureatami tegorocznych Nagród m. Łodzi zostali: prof. dr hab. inż. Henryk Błasiński — za działalność naukowo-badawczą, dydaktyczno-wychowawczą i społeczną; Agnieszka Brych — za całokształt pracy zawodowej i społecznej oraz za wkład pracy związany z kształceniem kadr pielęgniarstwie; prof. Roman Kaczmarek — za całokształt pracy zawodowej i działalności w dziedzinie kultury, bibliotekarską i społeczną, w zakresie badań i popularyzacji dzieł Łodzi i regionu; prof. dr hab. Aleksander Kamiński (pośmiertnie) — za całokształt twórczości literackiej; doc. dr inż. arch. Bolesław Kardaszewski — za całokształt działalności projektowej i realizacyjnej w dziedzinie architektury; Irena Kasprzak — za całokształt pracy zawodowej i społecznej w dziedzinie wychowania dzieci specjalnej troski; prof. Hanna Malkowska — za działalność artystyczną i pedagogiczną w dziedzinie aktorskiej; Józef Miksa — za całokształt pracy zawodowej i społecznej w dziedzinie rolnictwa; prof. Zenon Pioszaj — za całokształt działalności dydaktycznej w dziedzinie kultury muzycznej; prof. dr hab. med. Zdzisław Ruszcak — za całokształt działalności naukowej i dydaktyczno-wychowawczej w dziedzinie medycyny; prof. dr hab. med. Zenon Torzecki — za całokształt działalności naukowej, dydaktyczno-wychowawczej i społecznej w dziedzinie medycyny; prof. dr Jerzy Wróblewski — za całokształt działalności naukowo-badawczej i dydaktyczno-wychowawczej w dziedzinie teorii państwa i prawa.

Laureatom serdecznie gratulujemy. W kolejnych numerach naszego pisma będziemy prezentować sylwetki laureatów. W numerze bieżącym przedstawiamy szkic Jerzego Urbankiewicza o prof. Aleksandrze Kamińskim.

Bieżący tydzień przynosi zmianę lokatora w Białym Domu. Kończy swą prezydenturę J. Carter, zaczyna ją R. Reagan. Poświęciliśmy już nieco uwagi temu tematowi w poprzednim komentarzu, koncentrując się na tym, co zmiana ta może przynieść w życiu międzynarodowym. Tym razem powiedzmy, choćby w kilku zdaniach o dotychczasowym prezydencie, który zdaje się już nigdy nie powróci na scenę polityczną.

TYDZIEŃ W POLITYCE

Historycy z pewnością pisać będą o Carterze i jego prezydenturze w tonie niezbyt przychylnym. — Minie kilka miesięcy — napisał jeden z obserwatorów życia politycznego w Waszyngtonie — i nikt z pewnością nie będzie go żałował, ani za nim nie zateleżni. Carter odchodzi bowiem ze złą oceną i w atmosferze porażki. Nie towarzyszyła ona pożegnaniu żadnego z powojennych prezydentów, z wyjątkiem Nixona. Ale ten ostatni musiał ustąpić po znanej aferze Watergate, a więc w zupełnie innej sytuacji.

Dlaczego Amerykanie wystawiają Carterowi złą cenurkę?

Przed wszystkim dlatego, że ich zawiodł. Nie potrafił dotrzymać prawie żadnego ze swych przyrzeczeń. Co więcej — nie potrafił uchronić kraju przed inflacją, która przybrała wysokie rozmiary (około 20 proc. rocznie) i dokuczyła każdemu Amerykaninowi. Uważa się też, iż po 4-letniej kadencji Cartera Stany Zjednoczone utraciły międzynarodowy prestiż i mają teraz znacznie gorszą pozycję w świecie, niż wówczas, gdy obejmował on urząd prezydencki. Oczywiście pamięta się o jego inicjatywie i udziale w rokowaniach egipsko-izraelskich w Camp David i o znormalizowaniu stosunków z Chinami, ale te fakty, jeśli nawet rejestrowane są po stronie pozytywów, nie równoważą potknięć, czy wręcz przegranych w innych sprawach. Zwłaszcza negatywnie oceniana jest nieumiejętność rozegrania konfliktu z Iranem, w wyniku czego nie udało się mu doprowadzić do powrotu zakładników.

W rezultacie i wyborcy i Carter są rozczarowani. Pierwszy jego słabość, drugi — niewdzięczność rodaków. I w takim klimacie zamyka się w Stanach Zjednoczonych 39 prezydentura.

A teraz o wydarzeniu, zapowiedzianym na przyszły tydzień — o szejście świata islamskiego. W spotkaniu, które odbędzie się w Arabii Saudyjskiej ma wziąć udział około 40 przywódców państw. Wszystko wskazuje na to, że państwa tzw. frontu odnowy: Syria, Algieria, Libia, Jemen Południowy oraz Organizacja Wyzwolenia Palestyny, będą również reprezentowane na naradzie. Sensem spotkania jest pojednanie, próba zapomnienia o kłótniach i sporach, przede wszystkim zaś złą-

dzenie ostrego konfliktu jordańsko-syryjskiego. Wynikł on z wojny iracko-irańskiej, gdyż na zaplecze doprowadził do głębokich podziałów. Nie wydaje się jednak, aby szczyt ograniczył się do tych spraw i nie przedyskutował szerszej sytuacji międzynarodowej.

W ostatnich dniach prasa zagraniczna poświęciła znów więcej miejsca Polsce. Powodem były przemówienia członków Biura Politycznego KC PZPR na naradach i przed kamerami telewizji, rozwój wydarzeń w naszym kraju, a przede wszystkim kontrowersja wokół wolnych sobót oraz pobyt delegacji NSZZ „Solidarność” we Włoszech i audycja Lecha Wałęsy u papieża Jana Pawła II.

Wiele komentarzy napisanych zostało w życzliwym naszymu krajowi tonie, wiele wyrażało zdziwienie, że nie drogi wyjścia z kryzysu gospodarczego, lecz czas odpoczynku stały się przyczyną kolejnego wzrostu napięcia, wcale jednak w dalszym ciągu przedstawia sytuację w Polsce w krótkim zwierciadle i próbuje wykorzystać ją do siania niepokoju i zakłócania atmosfery międzynarodowej. M. in. wciąż aktywne są kółka rewizjonistyczne w RFN, które snują plany korekty granic, tworzenia wielkich Prus, udzielania kredytów Polsce pod... zastaw ziem zachodnich. Komu i czemu ma to wszystko służyć — nie trzeba wyjaśniać.

W zamierzeniach różnych imperialistycznych kół na Zachodzie jest destabilizacja sytuacji na kontynencie europejskim i w tym też celu wykorzystuje się nasze trudności i brak w kraju równowagi.

W. ŚLAWSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (1 z-ca redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (2 z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁĄŻEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELIK, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RYŻOWSKI, TOMASZ SOLTENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), Stale współpracują: TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GIANC, JERZY WILMAŃSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSZYNA SARDECKA.

Dalszy ciąg ze str. 1

bardzo dobre. Cóż z tego, kiedy spaliliśmy po dwie, trzy, najwyżej cztery godziny na dobę. Tyle, że można było się dobrze umyć. No i karmili nas znakomicie. Cztery razy dziennie. Rano była ciepła zupa. A wstawaliśmy już o godzinie 3.00 rano.

M. PŁOTICA: — Sarbinowo leży 40 km od pożaru, a do morza było 100 metrów. Mało kto jednak widział morze.

M. KOBIAŁKA: — Ja widziałem. Mnie się udało. Niektórym kolegom też. Ale to było już ostatniego dnia.

I. SCIBIOREK: — Na początku była narada w sztabie, później ćwiczenia koło lotniska w Koszalinie.

M. PŁOTICA: — Łunę widać

pomagało. Trzeba było tylko prosić kolegów, żeby od czasu do czasu polali wodą. Poprosiłem któregoś razu i zapomniałem, że mam ubranie żaroodporne na plecach nie zapięte. Zmoczył mnie dokładnie. Ale nie było z tym kłopotu, bo po 10 minutach byłem już suchy.

I. SCIBIOREK: — Zachorowało tylko dwóch strażaków. Porucznik natomiast dostał kataru i do dziś pokasłuje.

Początkowo chciano wszystkich wyposażyć w urządzenia do łączności radiowej, ale zrezygnowano. Dostali ją tylko dowódcy. Ja dowodziłem trzecim odcinkiem. Ale ta łączność nie na wiele się zdała.

M. PŁOTICA: — Huk był taki, że się siebie nie słyszało.

Działko wodne obsługuje w zasadzie jedna osoba. Myśmy

M. PŁOTICA: — Po odkreśleniu resztek prewentera znów zapalono strumień ropy. Jak wybuchł płomień ludzie zaczęli biec w jego kierunku, aby się ogrzać. Zapaliła się też rozlana ropa. Sześć hektarów ziemi stanęło w płomieniach. To był niecodzienny widok. Straszny, a jednocześnie piękny.

I. SCIBIOREK: — Dostaliśmy gratulacje z Łodzi. Dostaliśmy telegram z gratulacjami od NSZZ Pracowników Ochrony przeciwpożarowej Komendy Wojewódzkiej w Łodzi podpisaną przez inż. Jana Kornatowskiego, przewodniczącego naszego związku. Wizytował nas komendant wojewódzki pułkownik Stanisław Woźniak. Dostaliśmy napoje wzmacniające, specjalny krem do twarzy

nam się dni. Nikt dokładnie nie wiedział, jaki teraz jest dzień, jaka jest data.

M. PŁOTICA: — Ludzie bardzo interesowali się tym, co dzieje się w Karlinie. Na hasło: ropa — można było wszystko załatwić. Mieliśmy wszędzie bezapelacyjne pierwszeństwo.

Zmienił się też stosunek do straży. Do tej pory zachęcaliśmy naszych ludzi, żeby chodzili w mundurach. Robili to niechętnie. Teraz jest odwrotnie.

M. KOBIAŁKA: — Dojeżdżając do pracy w Łodzi. W autobusie musiałem opowiadać ludziom przez całą drogę, jak tam było, co robiliśmy.

Wszyscy z Karlina przywieźliśmy sobie trochę ropy. I wszyscy marzymy, aby było jej

SZEŚĆ HEKTARÓW POD OGNIEM

już w okolicach Koszalina. Zastanawialiśmy się nawet, jak zareagowały na to straże ochotnicze z tego rejonu, które jadą do pożaru na widok łuny. Musiały jechać i jechać, a pożaru ciągle nie było widać. Myśmy też do samego pożaru jechali nocą. Zresztą w Sarbinowie też widać było łunę.

To był niezapomniany widok. Okropny huk i ciepło. W zimowym ubraniu, jakie mieliśmy, można było podejść na 80 metrów do ognia. Na krótko można było podejść nawet na odległość 30 metrów, ale szybko się uciekało. Zar był nie do wytrzymania.

Płomień ciągle falował. W odległości 5 km od płomienia sa: ochody mogły już gasić światła, były niepotrzebne, bo wszystko było widać.

Popatrzyliśmy na ten płomień i każdy z nas pomyślał: jak to ugasić? Jak to zrobić, kiedy nie można blisko podejść do ognia?

M. KOBIAŁKA: — Wokół płomienia krajobraz był księżycowy.

I. SCIBIOREK: — W odległości 100 metrów od płomienia było ogromne błoto. Bliżej — zasnęta skorupa. A jeszcze bliżej ziemia spalona na popiół.

M. PŁOTICA: — Tej nocy wróciliśmy do Sarbinowa na 2 godziny. O 4 wyjechaliśmy do Karlina. Dla wielu z nas tego dnia wszystko było nadzwyczajne. Obiad jedliśmy na powietrzu z menażek. Na stojąco.

I. SCIBIOREK: — Zaczęły się przygotowania. Budowano 7 rurociągów od zbiorników z wodą do pomp i do działek. My w tym czasie poznawaliśmy swoje zadania. Każdy musiał dokładnie wiedzieć, gdzie jest jego miejsce, jakie wykonuje czynności, kto kogo asekuruje.

7 stycznia zapadła decyzja, że właściwą akcję rozpoczyna następnego dnia, 8 stycznia. Założono, że akcja będzie dwustopniowa. Najpierw podnieśli się płomienie, oczyszcili się odwiert, aby można było następnie założyć prewenter.

M. KOBIAŁKA: — Ludzie byli już bardzo zmęczeni. Zasypaniśmy gdzie się tylko dało. Niektórzy zasypiali nawet na stojąco.

M. PŁOTICA: — Widziałem strażaka, który spał z głową ułożoną na pracującym silniku.

M. KOBIAŁKA: — Dostaliśmy ubrania żaroodporne. Strasznie niewygodnie się w tym chodziło. Do tej pory nie mieliśmy wielu okazji, aby takie ubrania wykorzystywać. Miałem nawet wątpliwości, czy to coś pomaga. Owszem

dali dwie. Za nimi była druga para i za nimi znów para. Trzeba było dokładnie wiedzieć, gdzie kto sto, jak i kiedy ma się wycofać. Trzeba było maksymalnie zapewnić ludziom bezpieczeństwo.

M. KOBIAŁKA: — Na początku to trochę bałaliśmy się, ale później przyzwyczailiśmy się. I już nie było strachu.

I. SCIBIOREK: — Pierwsze zadanie polegało na ochłodzeniu ziemi. Jak wynikało z badań radzieckich pożarników ziemia w okolicy płomienia miała 80 stopni ciepła.

M. KOBIAŁKA: — Przez poduszki parzyło.

I. SCIBIOREK: — Ochłodzenie ziemi potrzebne było z dwu powodów: żeby działka można było podciągnąć bliżej i żeby można było podjechać agregatami.

M. PŁOTICA: — Na minutę podawaliśmy 50 ton wody. Uparaliśmy się z płomieniem szybciej niż się spodziewano. Ale to była prawdziwa strażacka zawziętość.

I. SCIBIOREK: — Radzieccy specjaliści założyli, że akcja będzie trwała wiele godzin. A po 17 minutach z otworu płynęła już ropa. Trzeba było ją nadal polewać, aby się nie zapaliła.

M. PŁOTICA: — Pożar szybko Daszewo i należy do 10 największych na świecie. Nikomu jednak nie udało się ugasić płynącej ropy tak szybko jak nam. Pierwszy etap akcji był zakończony.

M. KOBIAŁKA: — Wszyscy się strasznie cieszyli.

I. SCIBIOREK: — I nie zdawali sobie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa. Ale po 10 minutach było już wiadomo, że wybuch nie może nastąpić.

M. PŁOTICA: — Teraz zaczęła się praca przy resztkach prewentera. Myśmy lali wodę, aby z rozlewającej się ropy powstawała emulsja. Ludzie przy prewenterze pracowali na zmianę. Zmieniali się co 2 minuty. Pracowali polscy i radzieccy ratownicy.

I. SCIBIOREK: — Podawaliśmy przez cały czas wodę i pianę iżejszą od ropy, aby ją pokryła, aby uniemożliwić zapalenie się rozlanej ropy. Wodę braliśmy ze zbiorników. Do zbiorników czerpano wodę z niedalekiej rzeki. Pracowały silne pompy. Ciągły ruch wody uniemożliwiał jej zamrożenie. A mróz był wtedy 14-stopniowy.

M. KOBIAŁKA: — Jak tylko zgasił płomień zrobiło się nagle piekielnie zimno. Na dodatek wiał wiatr. Ten wiatr był potrzebny, aby odginal strumień ropy, aby ją przerosł dalej. Ale nam zatruwał życie.

od łódzkiej „Polleny”. Dzwonili dziennikarze.

Jeśli używam formy „my” w odniesieniu do akcji w Karlinie, to mam wówczas na myśli wszystkich strażaków, którzy brali tam udział, bo każda grupa spełniała określoną i niezbędną rolę. To był nasz wspólny wysiłek i nasz wspólny sukces.

Przez cały ten czas nie wiedzieliśmy, co pisze o naszym działaniu prasa. Nie mieliśmy czasu, aby oglądać telewizję, czy słuchać radia.

M. KOBIAŁKA: — Przede wszystkim chciało się nam spać. Nawet gdyby można było oglądać telewizję, to wszyscy rezygnowali, aby się tylko wyspać.

I. SCIBIOREK: — Dlaczego za drugim razem gasiliśmy dużej? Chodziło o to, aby do akcji weszły radzieckie agregaty. My takich nie mamy, a będziemy chcieli kupić choć jeden. Radzieccy specjaliści przywieźli 5 agregatów. Można było ponownie ugasić płomień bez użycia agregatów. Raz to już się udało. Wiedzieliśmy, jak to zrobić. Ale chcieliśmy też zobaczyć agregaty w akcji. Aby się czegoś nauczyć od radzieckich kolegów. Oni nie używają do gaszenia palącej się ropy działek wodnych. My nie używamy agregatów.

M. PŁOTICA: — Bo nie było ani takiej okazji, ani potrzeby.

I. SCIBIOREK: — Radzieccy koledzy powiedzieli na pożegnanie, że jak u nich będzie się paliła ropa, to oni zaproszą nas z działkami. A my ich z agregatami.

Do drugiego gaszenia płomienia ograniczono ilość działek i zmniejszono ciśnienie. Do akcji weszły dwa agregaty. Trzeba było znów ochłodzić ziemię, aby podsunąć bliżej płomienia działka i aby mogły bliżej podjechać agregaty. Gasała one mieszaniną gazowowodną. Było to dla nas zupełnie nowe doświadczenie.

Komenda Główna Straży Pożarnej nakręcała film z akcji w Karlinie. Również ci, którzy tam nie byli będą mogli zobaczyć, jak to wyglądało.

M. KOBIAŁKA: — Sam też bym to zobaczył chętnie na filmie. To musi zupełnie inaczej wyglądać, kiedy patrzy się na to z boku.

M. PŁOTICA: — Ale nikt już tego tak nie przeżyje, jak my. Którejś nocy była bardzo silna śnieżnica. Śnieg padał taki gęsty, że wokół nic nie było widać. Śnieg topił się w zetknięciu z rozgrzaną ziemią i powstawały tumany pary. Było to coś fantastycznego.

M. KOBIAŁKA: — Pogubiły

tam dużo. Aby nasza praca na coś się przyszyła.

M. PŁOTICA: — Kiedy byliśmy u prezydenta Józefa Niewiadomskiego, to też wręczył mi na pamiątkę ropę z Karlina.

M. KOBIAŁKA: — Ale w dzień płonąca ropa nie wywierała takiego wrażenia jak nocą. Do dziś nie mogę tego zapomnieć.

I. SCIBIOREK: — Po drugim ugaszeniu płomienia jeszcze przez jakiś czas schładzaliśmy ziemię, aż założono prewenter. Później pojechaliśmy na krótki odpoczynek i część ludzi wróciła do Karlina, aby zebrać sprzęt i załadować na samochody. Nie odzyskaliśmy wszystkiego. Część sprzętu poginęła w błocie, część spalila się.

Dlaczego tak się stało? Po drugim ugaszeniu płomienia zmienił się wiatr i ropa zaczęła opadać na nasze stanowiska. Trzeba było ewakuować ludzi. Zresztą straty są niewielkie. A w porównaniu z korzyściami, jakie dała dobrze przeprowadzona akcja, zupełnie znikome. Zresztą zakładaliśmy, że mogą być straty. Najważniejsze, że nie się stało nikomu z ludzi. Do Łodzi wróciliśmy wszyscy.

M. PŁOTICA: — Ci, którzy nie musieli wracać po sprzęt mogli wreszcie pójść zobaczyć morze.

I. SCIBIOREK: — Do Łodzi wróciliśmy w nocy.

M. KOBIAŁKA: — Powitano nas już na granicy województwa. Nie spodziewaliśmy się, że już tam będą na nas czekać.

I. SCIBIOREK: — Pojechaliśmy na ratunek, do nietypowej, ale przecież do przeciwpożarowej akcji. W Łodzi czekali na nas koledzy. Mimo że była późna noc. Były kwiaty, gratulacje. Samochodami rozwieziono nas do domów. I wszyscy dostali po dwa dni wolnego, aby mogli się wypocząć i zregenerować siły.

M. PŁOTICA: — I wróciliśmy do normalnej pracy.

M. KOBIAŁKA: — Żeby znów coś się takiego fajnego zapaliło.

M. PŁOTICA: — Czasem zastanawiam się, czy strażacy bardziej kochają gasić, czy sam fakt, że się coś pali? Ogień jest fascynujący. Ale o tym może lepiej niech pani nie pisze.

Opracowała:
BOGDA MADEJ

Foto: P. Jaskow



W. I. Lenin: Nie można osiągnąć umiejętności rozwiązywania w dniu dzisiejszym za pomocą nowych metod zadań stojących przed nami, jeśli doświadczymy dnia wczorajszego nie otworzyło nam oczu na nieścisłość metod starych.

To, co prezentowano w swoim działaniu, a właściwie braku przez dłuższy czas widomych oznak działania ze strony nowego kierownictwa partii już po jej VI Plenum, kłóciło się ze zgłoszonymi na nim deklaracjami. Dlatego też sytuacja taka mogła rodzić wrażenie, iż ekipa Stanisława Kania, poszukiwała rozwiązań taktycznych w starych schematach. Tak więc miast podejmować szybko i konsekwentnie zdecydowane działania, podejmowano decyzje, które mogły jedynie łagodzić bieżące skutki kryzysu, a nie przybliżyć szanse na wyjście z niego. Nie rozliczono dość szybko winnych doprowadzenia kraju do tak katastrofalnej sytuacji. Stąd też coraz częściej dano się słyszeć zarzuty, iż nowa ekipa nie posiada skutecznego programu opanowania skomplikowanej sytuacji w kraju i partii. I dziś jeszcze toczą się w tym temacie dyskusje i spory. Wiele uzasadnionych wątpliwości budzi trzyletni program przywracania stabilizacji gospodarczej kraju i proponowane w nim rozwiązania. Rodzą się w wielu środowiskach namietności wokół reformy gospodarczej i konieczności skorelowania jej z założeniami reformy politycznej, z przemianami i istotnymi przeobrażeniami we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Kontrowersję budził skład powołanej komisji reformatorów Rzeczypospolitej i jej niezbyt duże tempo pracy.

Rodzili się w tym czasie różnorodne programy, propozycje. Formułowano rezolucje i długie listy postulatów. Dokumenty te wysyłano wprost do KC. I sprawa jakby się na tym kończyła. Takie w każdym razie pozostawało wrażenie w „dołach” partyjnych. W tej sytuacji narastało zniecierpliwienie i niezadowolenie szeregowych członków partii. Jakby zaś na ironię niektórzy funkcjonariusze partii, których gorące politycznie lato 1980 niczego nie nauczyło, zaczęli coraz głośniejszymi głosem mówić, iż podpisane porozumienia były wymuszone na władzy. A to by miało znaczyć, że władza nie musi traktować ich na serio. Wyrażano tu i ówdzie, że już niedługo przyjdzie czas „złapania oddechu” i „ukręci się łeb” tym rzekomo kapitulackim aktem. W tej sytuacji coraz bardziej wyraźnie rysowała się różna optyka widzenia tego, co się w kraju wydarzyło przez wielu ludzi z centralnego i terenowego aktywu funkcyjnego PZPR i jej szeregowych członków.

Do czasu przemówienia S. Kania wygłoszonego w Nowej Hucie (a i potem) wielu urzędników partyjnych i prowincjonalnych doktrynerów na własną rękę prowadziło zaciętą walkę przeciw nowemu ruchowi, związkowemu. Tu i ówdzie posuwano się do administracyjnych nacisków i partyjnych zakazów wstępowania do „Solidarności”. Taktyka umacniania swojej pozycji w partii przez dogmatyków oraz różnej maści i odcieni doktrynerów grających kartą „Solidarności”, upadła, a w każdym bądź razie mocno straciła na sile przebiecia po decyzji Sądu Najwyższego z dnia 10 listopada 1980 r. o ostatecznej rejestracji „Solidarności”.

Kierownictwo PZPR zaczyna jednak coraz więcej przejawiać zainteresowania samą partią. Kluczowym problemem staje się wkrótce sprawa zwolnienia Zjazdu Nadzwyczajnego. We wspomnianym wcześniej nowohuckim wystąpieniu S. Kania powiedział:

„(...) żywy w organizacjach jest postulat zwolnienia kolejnego nadzwyczajnego, ścisłej IX Zjazdu partii Komitet Centralny, jak wście, w pełni podziela tę opinię (...) I tego się nie da zrobić w ciągu tygodni”.

Słowa te rozumiano jako dążenie do możliwie późnego zwolnienia Zjazdu i nie odbywania tego najwyższego gremium partyjnego w dwu etapach, jak to postulowała m. in. uchwała Komitetu Łódzkiego PZPR.

Tymczasem „dół” partyjne domagały się konsekwentnego i jak najszybszego zrealizowania przez KC wcześniejszych zapowiedzi. Postulowano, aby zjazd odbył się w jego pierwszym etapie na przełomie stycznia i lutego. Stanowiło to znajdowało potwierdzenie w dziesiątkach i setkach uchwał organizacji partyjnych kierowanych wprost do KC.

Działacze centralnego szczebla wypowiadali się w tej sprawie na naradach i spotkaniach wypowiadając się za rozpoczęciem dyskusji przedzjazdowej i za zwolnieniem Zjazdu na niezbędnych przygotowaniach. Oficjalnego stanowiska KC w tej sprawie jednak nie było.

Sytuacja w partii w październiku i listopadzie sprzyjała nie tylko eskalacji aktów zniecierpliwienia, a nawet desperacji, ale i demonstrowania niezadowolenia i uczucia zawodu, zwątpienia i rozterki wielu szeregowych działaczy. Robotnicy członkowie PZPR, dotąd zaabsorbowani sprawami odnowy ruchu związkowego w tym czasie zaczynały się coraz bardziej aktywnie włączać w nurt udzielenia i naprawy sytuacji w partii.

Wobec dość powszechnie odczuwanego braku inicjatywy ze strony kierownictwa PZPR w

stosunku do spraw najważniejszych dla całej odnowy życia społeczno-politycznego kraju, w sytuacji braku zaufania do tegoż kierownictwa, a przede wszystkim braku zaufania i braku wiary w skuteczność funkcjonowania aparatu partyjnego szczebla wojewódzkiego i w ogóle niedowierzania w możliwość prawidłowego funkcjonowania dotychczasowych, sztywnych pionowych struktur partii, niektóre organizacje partyjne wystąpiły z własnymi oddzielnymi inicjatywami, rozpoczynając samodzielne przedzjazdowe dyskusje. Powoływano komisje porozumiewawcze POP i komitety zakładowych PZPR są instytucjonalnymi formami współpracy i współdziałania organizacji partyjnych poza instancjami oficjalnymi. Ich celem jest m. in. wynegocjowanie wspólnej taktyki działania partyjnego, która to taktyka byłaby akceptowana przez znakomitą wię-

taktyki, że zajmowało się tylko sprawami doraźnymi, że był to wynik braku jednoci poglądów. Poza tym, jak się zdaje, zbyt wielką wagę przywiązywano do niebezpieczeństwa dalszego tolerowania radykalnych nurtów w partii. Odnowy wysuwanych przez skrajnych radykałów nie zaakceptuje większość członków PZPR.

Można więc było domniemywać, że obok nurtu centrowego i liberalnego w partii istnieje także nurt zachowawczy.

VII Plenum KC wpłynęło stabilizujące na temperaturę dyskusji i polemik partyjnych. Innym, niejako naturalnym, czynnikiem ostudzenia dyskusji było naturalne zmęczenie przedzjazdowym kryzysem. Z drugiej strony w wielu organizacjach, szczególnie tych do których odnowa dotarła ze znacznym opóźnieniem poczęt, w grudniu 1980 r. iście jednomyślnie interpretować stwierdzenie zawarte w referacie Biura Politycznego, iż „partia nie może być ani klubem dys-

tyl. Przyjmując takie założenie, przy dalszym skutecznym izolowaniu nurtu radykalnego i skrajnego w partii, udać się może do czasu zjazdu przywrócić i umocnić wiarygodność i zaufanie do władzy.

VII Plenum nie zakończyło jeszcze kryzysu politycznego w kraju, to jednak przyczyniło się do znacznego złagodzenia jego przejawów. Stan aktualny nazwałbym swoistym „zawieszeniem działani”. Nie zamierzam absolutnie poddawać pod wątpliwość potrzeby uspokojenia namietności. Pragnę tylko przypomnieć, droga do pokonania narodowego, może być jeszcze długa i trudna. Jaką będzie w istocie zależność od nas wszystkich. Stąd też chodzi o to, aby ten czas został właściwie wykorzystany, aby strony uzbrajały się nie w broń nowych żądań i argumentów, ale dobrą wolę. Aby czas ten służył wypracowaniu rozumnej taktyki „na jutro” przez kierownictwo partyjne i gospodarce kraju. Należy zatem uczynić wszystko co możliwe, aby czas spokojniejszy nie okazał się być w przyszłości ani czasem straconym, ani przysłowiową ciszą przed nową burzą.

TAKTYKA NA JUTRO

Formułując zasady taktyki „na jutro”, nie możemy zapomnieć o tym, iż to nie w szeregach partii został zainicjowany proces odnowy życia społeczno-politycznego. Stąd też wynika przestroga, iż partia nie może sobie uszupiać monopolu ani na władzę, ani na mądrość, ani na nieomyślność. Trzeba zatem wypracować właściwe treściom umowy społecznej formy jej konsekwentnej realizacji. Partia musi przywrócić podobnie jak władza państwowa swoją wiarygodność i autorytet w społeczeństwie. A nie pomocą w tym nawet najpiękniejsze deklaracje.

Uporządkowania wymagała sprawa partii, a w tym sprawa statutowo-organizacyjna, programowa i ideologiczna. Trzeba przywrócić leninowskie normy i zasady życia partyjnego. Dopiero uzdrowiona, wzmocniona ideowo-politycznie i moralnie PZPR, będzie mogła, jako kierownictwo siła społeczna realizować program odnowy całego życia społeczno-gospodarczego i politycznego kraju.

Jeśli nie uratujemy w porę jednoci ideowo-politycznej i moralnej partii, nie uratujemy niczego z jej nie wolnego przecież od osiągnięć i sukcesów dorobku. Partia musi przysięść na IX Zjazd z konkretnym, realnym, ale ambitnym programem stabilizacji i naprawy sytuacji gospodarczej, ograniczając przy tym do minimum działania o charakterze komunizmu wojennego, przywracając właściwą rangę prawom i prawidłowościom ekonomicznym, których nie można dłużej ignorować.

Moim zdaniem uspokojeniu namietności nie służy straszenie wizją tragedii narodowej, kiedy społeczeństwo domaga się konsekwentnej realizacji podpisanych wcześniej zobowiązań. Z drugiej zaś strony warto przypomnieć, iż to już XX Zjazd KPZR reaktował zasadność tezy o możliwości narodowych, specyficznych dróg dochodzenia do socjalizmu przy gwarancjach poszanowania suwerenności. Uważam bowiem, że w Polsce nie ma zagrożenia trwałych i niepodważalnych zasad i zdobyczy budownictwa socjalistycznego.

Kierownictwo partyjne działające z pozycji przewodniej siły politycznej

narodu, musi podjąć szybkie, a co najważniejsze skuteczne działania w kierunku przywrócenia rzeczywistego autorytetu władzy. Proces ten musi się odbywać na drodze restauracji i poszanowania decyzji organów przedstawicielskich i woli organizacji samorządowych. Przy czym pamiętać należy, że siła władzy nie wyraża się w zakresie jej autokrytyzowania, ale skuteczności w stymulowaniu postaw i działań pożądaných i społecznie akceptowanych.

Czas najwyższy chyba już ku temu, aby przywrócić do normalnego funkcjonowania zdevaluowany ostatnio system norm, zasad i wartości życia społecznego. Kryzys nie może trwać w nieskończoność. Partia, w poczuciu historycznej odpowiedzialności za losy kraju, musi znaleźć sposób na to, aby przekonać Polaków o tym, że trzeba wreszcie otrząsnąć się z szoku i pracując dalej, uratować to, co dotąd jeszcze nie przepadło, a co stanowi trwały dorobek 36 lat budownictwa socjalistycznego i ocalić to, co pozwoli nam myśleć o przyszłości niekoniecznie w kategoriach dziesiątej potęgi świata, ale choćby realnych tylko perspektyw i prawdziwych gwarancji wyzwolenia się z kompleksu bankruta.

Jest takie powiedzenie, iż nie jest najgorszym upaść, nawet na dno tak trudnego i skomplikowanego kryzysu, jak ten, który aktualnie wciąż przeżywamy, ale jest już bardzo źle, kiedy nie można się z upadku podnieść. Taktyka „na jutro” ma stanowić w moim rozumieniu przesłankę przywrócenia narodowi wiary w przyszłość. Bez tej wiary popartej konkretnym i nie marnotrawionym działaniem, naród nie może myśleć o wybitciu się na suwerenność, a jego życie stać się może wegetacją. Nie wolno nam na los taki się godzić.

Sytuacja polemisty jest wygodna. Ustosunkowuje się on do tego, co już zostało opublikowane i o czym najczęściej czytelnicy zapomnieli. Przypomnę więc po krótko, o czym pisał Karol Józef Stryjski w pierwszej części artykułu pt. „Trzy taktyki trzeciej odnowy”. Część druga tego artykułu drukujemy obok. Zastanawiał się on przede wszystkim nad przyczynami powtarzających się w naszej najnowszej historii kryzysów społeczno-politycznych. Jego zdaniem przyczyny tych kryzysów są podobne. Pisz on: „Teoretycznie dwa kryzysy poprzednie wydarzyć się nie musiały. Trzeci zaś zdarzył się w przyczynę podobnej, jak poprzednie”. A kryzysy zdarzały się dlatego, że „nie w porę i nie dość konsekwentnie przystąpiono do zmian nieadekwatnych do warunków, metod i form działania partyjnego”. Tak na przykład było w przypadku pierwszego kryzysu. Podobnie w przypadku drugiego: „Kierownictwo partyjne nie potrafiło w porę wypracować skutecznej taktyki i programu perspektyw socjalizmu w Polsce”. („Odgłosy” nr 2 z 11 stycznia 1981 roku).

Ile właściwie w Polsce było kryzysów po drugiej wojnie światowej? Wymienia się bowiem różne daty. Na przykład Andrzej Werblan w artykule pt. „Dawne kryzysy i dzisiejsze problemy” („Życie Warszawy” z 13 stycznia 1981 roku) wymienia również kryzys z 1948 roku. Pisz on: „Rok 1948 był w istocie rzeczy kryzysem „gór”, chociaż przyniósł ogromne ważne konsekwencje dla społeczeństwa i partii”. Karol Józef Stryjski wymienia natomiast tylko daty: 1956, 1970 i 1980. Są jeszcze dwie daty: 1968 i 1976. Trzeba chyba się zgodzić z Andrzejem Werblanem, że kryzys rok 1970 był „zwłastowym zaburzeniem 1968 roku”. Podobnie zresztą wydarzenia z 1976 roku zwiastowały narastający kryzys, który w pełni ujawnił się w 4 lata później.

Zajmowanie się zjawiskami polityczno-społecznymi z przeszłości na niewątpliwie praktyczne znaczenie. Zgadza się z K. J. Stryjskim, że „rzecz bowiem w tym, że uczymy się jak dotąd historii (i to pobieżnie a niekiedy wręcz fałszywie) a nie z „historii”. Dlatego szukamy analogii z wydarzeniami społeczno-politycznymi z przeszłości naszej najnowszej, aby znaleźć przyczyny, dla których wówczas odnowa się nie udała. Mamy już dość wszelkich „zakrętów”, „zwrotów”, „odnow”, „przemian”, które nie powiodły się i stały gwałtownie poszukiwanie gwarancji, aby już więcej naród nasz nie znalazł się w sytuacji kryzysowej. Być może dlatego K. J. Stryjski rozważania swoje ogranicza tylko do sfery politycznej, upatrując przyczyny kolejnych wydarzeń głównie w braku elastyczności władz partyjnych, w biurokratyzowaniu aparatu partyjnego, w nieumiejętności „zweryfikowania w porę taktyki i metod działania, pozostających w coraz większej surrzeczności z wymogami zmieniającej się rzeczywistości społecznej”. Ja natomiast skłonny jestem widzieć przyczyny tych niekorzystnych zjawisk w sobie nieco innych. Również w historycznych uwarunkowaniach, ale także w sposobach realizacji ideowych założeń, a więc też w metodach formowania programu budowy socjalizmu, jak i jego praktycznej realizacji. Mam tu na myśli sposób planowania rozbudowy kraju i realizację poszczególnych planów gospodarczych.

IV Kongres Międzynarodówki Komunistycznej obradował w Moskwie między 5 listopada a 6 grudnia 1922 roku. Na tym kongresie Włodzimierz Lenin mówił o przyjętej na III Kongresie MK rezolucji w sprawie organizacyjnej budowy partii komunistycznych na świecie.

„Na III Kongresie uchwaliliśmy rezolucję o organizacyjnej budowie partii komunistycznych, o metodach i treści ich pracy. Rezolucja ta jest doskonała. Ale jest ona nazbyt rosyjska, na rosyjskim doświadczeniu oparta. Jest to jej dobra, a zarazem i zła strona, gdyż żaden cudzoziemiec — tak ja przynajmniej sądzę — nie przeczytaniu jej ponownym — rezolucji tej nie jest w stanie przeczytać. Przede wszystkim jest ona za długa. Zawiera 50 czy więcej paragrafów. Takich rzeczy cudzoziemcy zazwyczaj nie czytują. A gdyby nawet przeczytali, żaden cudzoziemiec nie zrozumie jej dlatego właśnie, że jest nazbyt rosyjska. Nie chodzi tu oczywiście o język: została ona bowiem wspaniale na wszystkich językach przełożona. Rosyjska jest ona w tym sensie, że jest zanadto przepojona duchem rosyjskim. I dlatego, jeśli ja wreszcie jakiś cudzoziemiec przeczyta i nawet zrozumie, to jednakże nie będzie mógł jej zastosować.

Sadzę, że uchwalając tę rezolucję ponieśliśmy wielki błąd gdyż zagroiliśmy sobie drogę do dalszego rozwoju. Powtarzam: rezolucja jest co do treści swej wyborna. Podoba się do wszystkich 50 jej punktami. Ale nie rozumieliśmy, że nie możemy po prostu przeszczepić na grunt cudzoziemski naszego rosyjskiego doświadczenia. Dlatego rezolucja ta pozostała martwa litera. I dopóki tego nie rozumiemy, nie posuniemy się naprzód.”

Słowa te przytoczyła w swoim referacie na II Zjeździe KPRP Maria Kozłowska. Był to zjazd dla KPRP przełomowy. Obradował on pod Mos-

KAROL JÓZEF STRYJSKI

TRZY TAKTYKI TRZECIEJ ODNOWY

(CZĘŚĆ II)

szosę członków PZPR. Chodziło również o przedsięwzięcie wspólnych działań mających na celu przekonanie KC o potrzebie pilnego, tj. z początkiem roku, zwolnienia IX Zjazdu. Tę ostatniego celu nie osiągnięto. Jednakże komisje, aby nie przedłużać okresu na niezbędne czynności organizacyjne przed zjazdem rozpoczęły w wielu organizacjach kampanię sprawozdawczo-wyborczą.

Działania na rzecz powoływania tego typu komisji jako wyraz żądań członków partii i inicjatywy oddolnej, nie są sprzeczne z zasadami statutowymi, ani też nie stanowią przejawów działań destrukcyjnych. Taką też ocenę tego faktu zawarto w referacie Biura Politycznego na VII Plenum.

Równocześnie jednak zaobserwować można było pojawienie się marginalnego ale dość niebezpiecznego nurtu rozbijackiego, frakcyjnego i kunkiatorskiego w partii. Jak zawsze w takich chwilach, i jak w przeszłości, aktywizują się ludzie o poglądach rewizjonistycznych. W sukurs zamętowi ideologicznemu idą rozmaite koła radykalne. Niekiedy z nich pragnęliby w odnowionej partii widzieć organizację bojową, rewolucyjną, kadrową, typu „walki”. W tych ideologicznych sporach i polemikach odzywa się tendencja socjaldemokratyczna i im podobne. Nowum aktualnego kryzysu jest dość wyraźnie dostrzegalnym wpływ koncepcji eurokomunistycznych w poglądach części członków partii z nurtu radykalnego. Jednym słowem do zamętu struktur dołącza się coraz wyraźniej i coraz ostrzej zamęt ideologiczny. Praca ideowo-polityczna w PZPR w ostatnim dziesięcioleciu nie stanowiła mocnej strony życia partyjnego. Dziś z tego faktu zbieramy żniwo.

Odnosiło się wrażenie, że Biuro Polityczne do drugiej części VI Plenum KC działało bez jasno sprecyzowanej

kusyjnym ani luźnym zrzeszeniem sympatyków”.

Osobliwie nie uważam, aby cytowane sformułowanie z dokumentu VII Plenum miało być hasłem do zamknięcia polemiki w partii. Chodzi, jak mi się zdaje, jedynie o to, aby z tych dyskusji wreszcie coś zaczęło wynikać, aby nie było to gadanie dla samego gadania.

Nie był to bynajmniej jedyny kontrowersyjny fragment referatu wygłoszonego 1 grudnia 1980 r. przez S. Kania. Osobiście zaś nie zgadzam się ze stwierdzeniem, że „przy rozstrzygnięciu problemów odpowiedzialności trzeba odróżnić odpowiedzialność polityczną związaną z podejmowaniem błędnych decyzji i z naruszaniem zasad życia wewnątrzpartyjnego, od odpowiedzialności prawnej. Konsekwencje odpowiedzialności politycznej mogą być wyłącznie polityczne. W najważniejszych przypadkach powinno to prowadzić do wydalenia z partii i pozbawienia wszystkich funkcji publicznych”.

Uważam, że przyjęcie takiej zasady oznacza praktycznie całkowitą bezkarność i tolerowanie nieodpowiedzialności w działaniu politycznym z doprowadzeniem do katastrofy narodowej winnie. Jest to nazbyt wielka wspaniałomyślność, na którą żaden naród stać nie powinien. Ale zastrzegam się — rzecz jest dyskusyjna!

Równie krytycznie komentowana jest uchwała o powołaniu Komisji Zjazdowej. Podkreśla się, iż w jej składzie znalazło się zbyt wielu „zawodowych” organizatorów kolejnych zjazdów. Nie brak w jej składzie także ludzi skompromitowanych. Stąd więc dla wielu Komisja Zjazdowa nie stanowi dostatecznych gwarancji, iż przygotowany przez nią IX Zjazd, będzie dalszym krokiem na drodze odnowy.

Ale niektórzy członkowie partii skłonni są tłumaczyć ustalenie terminu Zjazdu na przełomie I i II kwartału 1981 roku jako posunięcie dające możliwość wypracowania taktyki „na jutro” w rozwiązywaniu spraw kraju i partii oraz utrzymania ciągłości władz centralnych par-

**TRZY
TAKTYKI
CZY JEDEN
PROCES?**

Odcięto się więc nie tylko od najbardziej twórczych tradycji KPP ale również od twórczych tradycji PPR, nie mówiąc już o tym wszystkim co było wartościowe w dorobku PFS. Takie było wówczas uwarunkowanie historyczne. Zaczynała się „zimna wojna” i blok państw budujących socjalizm musiał się jednoczyć w obronie swoich interesów narodowych. Wówczas obowiązywał jeden wzór: był to wzór najlepszy. Kto myślał inaczej, ten był wrogiem.

Jak z tego widać objawy kryzysu ujawniły się już dość wcześnie. Czy na nie zareagowano? Tak. Na lata

W 1956 roku była szansa sięgnięcia do naszej przeszłości, do bogactwa dziełowi ruchu robotniczego. Z szansy tej nie skorzystano. Ustalono szereg tematów tabu, a przez to powstał niepełny obraz naszych dzieł. Obraz zafałszowany, rodzący domniemywanie, że nie wszystko w tej przeszłości było w porządku. Zaczęliśmy historię od nowa i tak już zostało.

Wszelkie inicjatywy, które rodzą się poza instancjami mniejszymi niż wojewódzkimi nie mogą być traktowane w jednakowy sposób. Do tej pory w partii panował taki styl pracy że monopol na wszelkie inicjatywy miały instancje różnego szczebla a właściwie aparat wykonawczy tych instancji. Organizację partyjną nie postawiono i tylko obowiązek wykonywania poleceń, instrukcji, uchwał. Nowa sytuacja polityczna w kraju, jaka się wytworzyła po sierpniu 1980 roku, zmusiła przynajmniej niektórych organizacje partyjne do samodzielnego działania. I jest to objaw pozytywny. To samodzielne działanie miało i ma różne formy. Były to inicjatywy przedsięwzięte tylko przez poszczególne organizacje partyjne albo przez kilka organizacji. Te inicjatywy próbowano traktować przede wszystkim jako działalność frakcyjną, bez próby wnikiwania w istotę. Tak było przecież między innymi z inicjatywą podjęcia dyskusji przedzjazdowej przez organizację partyjną ŁZR „Fonica” w Łodzi. Podobnie inicjatywę podjęła organizacja partyjna Politechniki Łódzkiej. Podobne inicjatywy podjęto w Krakowie.

Czy to jest też tendencja centrystyczna?

W moim przekonaniu nie. W moim przekonaniu — mamy ponownie szansę powrotu do korzeni sięgnięcia w przeszłość, aby tym jasniej dojrzeć przyszłość, opierając się na bogactwie tradycji polskiego ruchu robotniczego, nie odrzucając jednocześnie tego co wszystkiego co można przyjąć z światowego ruchu robotniczego. Potrzebna więc jest rzetelna marksistowska analiza przeszłości i teraźniejszości, czas na sprzecyzowanie racjonalnego programu. A tego czasu się ciągle mało. Również o marksizmie jak i o leninowskich normach życia partyjnego lubimy dużo mówić, gorzej jest ze stosowaniem tego w praktyce.

Wybory

Dalszy ciąg ze str. 1

Założycielski NSZZ „Solidarność”, przeprowadzono zbieranie deklaracji członkowskich, przedstawiono rektorowi rejestr najważniejszych postulatów, przygotowano się do opracowania programu działalności na najbliższą kadencję. Zorganizowano akademię w rocznicę tragicznych wydarzeń grudniowych i wysłano delegację na uroczystości odsłonięcia pomnika.

6 października ub.r. powołano Komisję Interwencji, która z 29 zgłoszonych spraw zdołała już załatwić pozytywnie 11. W listopadzie zespół pod przewodnictwem prof. J. Leyko opracował projekt określający zasady działalności przedstawicieli „Solidarności” w Instytutach. Prof. J. Leyko jako reprezentant „Solidarności” wszedł również w skład ministerialnej komisji opracowującej projekt ustawy o szkolnictwie wyższym.

Związek nie zaniedbywał również spraw socjalno-bytowych swych pracowników. Troszczył się o zasiłki, wczasy, stołówkę, zorganizował choinkę dla dzieci. W „Barbórkę” powołano Komisję do spraw Zatrudnień i Awansów, a niedługo potem zespół przygotowujący konferencję wyborczą.

„Pamiętajmy, nie głosujemy jak dotychczas. Nie ma żadnych list wyborczych przygotowywanych wcześniej. Wybieramy sami ludzi, którzy chcą i będą pracować dla nas wszystkich.”

Od ludzi zależy, jaki będzie nasz Niezależny i Samorządny Związek „Solidarność” — głosili rozklejane wcześniej ulotki.

Przed mikrofonem ustawia się teraz długa kolejka. Zgodnie z ordynacją wyborczą każdy delegat ma prawo zgłosić „za jednym podejściem” jednego kandydata do Komisji Zakładowej i uzasadnić jego kandydaturę. Następnie znów może ustawić się w kolejce i zaproponować kolejnego kandydata. Przewodniczącego wybiera w tajnym głosowaniu Walne Zgromadzenie osobno.

Ludzie są skupieni i poważni. Niektórym drży głos, kiedy mówią do mikrofonu i rekomendują kandydatów. — Zgłaszam kandydaturę Zofii Dwornik-Laskowskiej ze Studium Języków Obcych — podaje do mikrofonu pani Dorota Stefanowska. — Koleżanka Laskowska była założycielką koła „Solidarności” w Studium, jest aktywna, sumienna i ofiarna koleżanka.

Przewodniczący obrad, Czesław Sadowski, zadaje teraz pięć obowiązkowych pytań:

- Czy zgadza się pani kandydować?
- Tak — odpowiada Zofia Laskowska, niska drobna pani z grubym, ciemnym warkoczem opuszczonym na plecy.
- Jak długo pracuje pani w Politechnice?
- Dwadzieścia lat.
- Jakiej zajmuje stanowisko w uczelni?
- Pracownik, Studium Języków Obcych.
- Czy pełni funkcję w innych organizacjach społecznych lub politycznych?

- Nie.
- Czy była karana sądownie?
- Nie — słyszymy w odpowiedzi.
- Zgłaszam Grzegorza Palikę — pada następna kandydatura. — Nic więcej nie muszę chyba dodawać — delegatka szybko odchodzi od mikrofonu.
- Zgadza się — odpowiada kandydat. — Pracuję sześć lat, jestem asystentem w Instytucie Barwników, funkcji w innych organizacjach nie pełnię, dotychczas nie byłem karany.

Podchodzi następny delegat: — Zgłaszam kandydaturę prof. Bolesława Bachmana. Od 31 lat pracuje w Politechnice, dał się poznać jako wyjątkowo aktywny społecznik. Ostatnio zaangażował się w prace związane z samorządnością Uczelni. Jest profesorem nadzwyczajnym w Instytucie Technologii Fermentacji i Mikrobiologii, nie pełni żadnych funkcji. Nie karany.

— Zgłaszam prof. Zbyszka Kazimierskiego. — Niestety, uważam, że nie mogę przyjąć tej propozycji. Pracuję już w innych komisjach Uczelni, w których jestem potrzebny. Poza tym, w wielu wypadkach reprezentowałbym pracodawcę.

— Zgłaszam kandydaturę Jana Ciupka, portiera od czterech lat. Bardzo solidnego, odważnego człowieka. — Zgłaszam kandydaturę Lecha Brzeskiego, jednego z założycieli „Solidarności” w Uczelni.

— Zgłaszam Jadwigę Fiszer, szatniarkę, która walczyła ze starymi związkami. — Zgłaszam kandydaturę Olafa Gajla. — Zgłaszam kandydaturę Zbigniewa Okruszki. — Zgłaszam, zgłaszam, zgłaszam... — Czy są jeszcze jakieś kandydatury? Trzykrotnie powtórzono pytanie przewodniczącego obrad zamyka listę kilkudziesięciu nazwisk.

— Proszę państwa — powie w dyskusji prof. B. Bachman. — Kiedy mówimy o odnowie, myślę o odnowie moralnej, o patriotyzmie i kulturze w wychowaniu młodzieży. Kto ma to czynić, jeśli nie uczelnia? Rzucam pytanie: ilu studentów śpiewa dziś nasze narodowe pieśni, kto umie tańczyć mazur?

Głos z sali: — Zespoły, za pieniądze.

B. Bachman: — No, właśnie. Za czasów mojej młodości „Gaudefamus” śpiewała cała sala. Grzmiała cała Politechnika. A dziś Senat wchodzi na inaugurację przy słabych dźwiękach magnetofonu. Jak to pasuje do tych sobot? (Oklaski). Pokażmy naszej młodzieży bogactwo narodowej kultury. Nauczmy ją radować się po polsku. Przypomnijmy historię kultury. Niechaj student zaduma się nad słowami pieśni: „Królewski szczer Piasztowy”, niechaj nie zapomina o tym, kto to był Piaszt Kotodziej i co to znaczy — kończy Profesor.

Zauważ, że nie mam magnetofonu, gdyż z pewnością nie odtworzę wiernie wszystkich niuansów pięknej polszczyzny prof. Bachmana. Któż dziś tak mówi z młodzieżą, nawet po polonistycznie?

Następny dyskutant, znany na Uczelni portier, Jan Ciupka, mówi wprost:

— Nigdy nie byłem na czasach zagranicznych. Ani chyba większość moich kolegów. Trudno nam było się dogadać z administracją Uczelni. Sprzątaczką potulnie słuchała, co do niej mówią i najwyżej bluźniła na ko-

rytarzach. Musimy się teraz porozumieć, pracujemy w jednej Uczelni — i profesor, i doktor, i studenci, i my. Dbajmy więc o godność osobistą w naszej Uczelni.

Dyskutanci poszukują też odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób naukowcy, członkowie „Solidarności” mogą się włączyć w rozwiązywanie palących problemów kraju. Pada apel pod adresem kolegów z Wydziału Elektrycznego o udział w rozwiązywaniu lokalnych trudności energetycznych i oświetleniowych.

Pada propozycja wnikliwego obserwowania Komitetów Kontroli Społecznej i zajęcia wobec nich właściwego stanowiska.

Pada wniosek, aby posłowie, na skutek interwencji MKZ, usprawiedliwili się ze swej absencji na obradach. Zbyt często ławy poselskie świecą pustkami, a funkcja posła jest chyba zbyt odpowiedzialna, aby ją sobie lekceważyć.

Pada propozycja, aby przewodniczący Komisji Zakładowej pracował na 1/2 etatu. I od razu przeciwna propozycja: aby za wszelką cenę do tego nie dopuścić.

Są pytania o wolne soboty, o stanowisko „Solidarności” w tej sprawie, o przyjętą datę powstania Związku. Czy uznaje się datę podpisania porozumienia w Gdańsku, czy datę zarejestrowania statutu. Ktoś pyta o procentowy podział funduszy uzyskanych ze składek. Pro-



Foto: R. Łucyszyn

jekt zakłada przeznaczenie 80 proc. na potrzeby „Solidarności” w Uczelni, 15 proc. — na potrzeby MKZ Ziemi Łódzkiej i 5 proc. na konto Krajowej Komisji Porozumiewawczej.

I jeszcze pytania o cenzurę, o miejsce na łamach prasy, o reformę gospodarczą, podział kompetencji między partią a związkami.

Kilka razy powtarza się pytanie, co dalej z komunikatem ogłoszonym przez NSZZ „Solidarność”, tak głośno komentowanym w uczelni. Komunikat wywieszono na wielu tablicach. W przerwie czytaliśmy go z wysoce zadartą głową.

W komunikacie NSZZ „Solidarność” stwierdzono nieprawidłowości w działalności Rady Zakładowej ZNP. Dotyczyły one zdaniem autorów komunikatu dalekiej od demokratycznych zasad ordynacji wyborczej. „Kandydaci do objęcia funkcji RZ — czytamy w punkcie I komunikatu — byli uzgadniani na długo przed Konferencją Sprawozdawczo-Wyborczą na sześciu Reklora, Komitecie Uczelnianym PZPR i ustępującej RZ.”

Najwięcej zastrzeżeń budził sposób przydziału, prowadzenie dokumentacji oraz wysokość dofinansowań z funduszu ZNP. W kryteriach przyznawanych dofinansowań stosowano podział na wybitnych działaczy, działaczy i niedziałaczy. W kadencji 1972-1976 Prezydium RZ uchwaliło, że wybitni działacze i ich rodziny będą dofinansowywani do wysokości: działacz 80% kosztów, żona 50% kosztów, dzieci 30% kosztów. Te same kryteria stosowano do ludzi, nie będących nigdy działaczami ZNP. Wielekrotnie w protokołach Prezydium RZ i w wykazach kasowo-bankowych opisywano poważne wydatki w rodzaju wycieczka zagranicą dofinansowana całkowicie lub wyjazd zagranicą (pkt. 6 Komunikatu).

W pkt. 7 Komunikatu. Komisja zależała, że Prezydium RZ podjęło uchwały o nieodpłatnym korzystaniu przez członków Prezydium i ich rodziny z kursów przygotowawczych na studia wyższe, kursów języków obcych, basenu, odnowy biologicznej oraz biletów do kin i teatrów.”

Cytat: UCHWAŁA. 1. Członkowie Prezydium na kursy języków obcych mogą uczęszczać bezpłatnie;

1. Dzieci członków Prezydium przy zapisach na kurs przygotowawczy na wyższe studia zwolnione są od opłaty

UCHWAŁA. 1. Na kurs przygotowawczy przyjmowania pracowników (bądź dzieci) nie będących członkami ZNP za odpłatnością 1.500 zł.

2. Zwolnić od opłaty za kurs syna tow. J.G.”

Komunikat z dnia 5 stycznia podpisał Komisja złożona z sześciu osób stwierdzająca w punkcie 9, że w świetle przytoczonych powyżej faktów działalność Komisji Rewizyjnej Rady Zakładowej ZNP należy poddać surowej krytyce.

— Podając do publicznej wiadomości budzące tyle zaniepokojenia fakty — powiedział na zebraniu Wojciech Przanowski — chcieliśmy ujaśnić mechanizmy pracy byłego Związku. Nie chcemy być prokuratorami ani budzić niezdrowej sensacji. Chcemy przywrócić prawidłowy sens pracy społecznej. Pamiętajmy o tym, że praca społeczna nie powinna dawać żadnych przywilejów.

A co dalej?

Z projektu programu działania „Solidarności” w Politechnice Łódzkiej wypisuję główne założenia. Dotyczą one między innymi opiniowania propozycji władz administracyjnych kraju i miasta w sprawach społecznych i gospodarczych, działań zmierzających do podwyższenia poziomu badań naukowych i nauczania, kształtowania samorządnej struktury uczelni we współpracy z innymi organizacjami. Projekt mówi także o ustosunkowaniu się „Solidarności” do systemów placowych i socjalnych w szkołach wyższych, a także prowadzeniu szerokiej akcji informacyjnej.

— Czy może podpisać Pan dwa pisma? — sekretarka podsuwa W. Kotelkowi dwa blankiety. — Czy nie uważa Pan — dodaje — że powinniśmy zamówić nową pieczęć?

— Nie, to zupełnie zbędne, wystarczy nam jedna. Zaczyna się zwyczajny codzienny dzień.

MAŁGORZATA GOLICKA

Z ostatnim dniem grudnia, nie wchodząc w kolejny, trzydziesty drugi rok istnienia, zakończyła życie Centralna Rada Związków Zawodowych. Jednocześnie rozwiązane zostały jej wojewódzkie agendy. Z frontonu siedziby Łódzkiej Rady przy ul. Traugutta 12 zniknęła okazała, czerwona tablica.

Wydawać by się mogło, że jest to już kres równi pochyłej, na której po Sierpniu znalazły się branżowe związki zawodowe. Dzisiaj wiadomo na pewno, że jest to koniec dla ich centralnej instancji, zbliżonej do kierowniczego organu. W atmosferze kryzysu zaufania dla konkretnych osób i całej tej struktury, kolejne organizacje jedna po drugiej opuszczały zrzeszenie, dokonując zmian w statutach i nazwach, wybierając nowe władze. Opustoszał rejestr CRZZ, od nowego roku przechowywany przez Sąd Wojewódzki w Warszawie.

Stare związki zawodowe stanęły w ostatnich miesiącach w obliczu totalnej, bezpardonowej krytyki. Trudno jednak ukryć, że rozliczanie osób, form i metod nie zawsze towarzyszyło — i towarzyszy — rozważa. Ze dochodziło do aktów i decyzji o partych często na sądach skrajnych, ocenach pośpiesznych, zdominowanych emocjami, dalekich od obiektywizmu. Ze wielu ludzi, opuszczając stare związki, nie potrafiło — i nie chciało — dostrzec, iż reformatorskie poruszenie zaczyna ogarniać również — płynący dotąd zbyt gładkim korytem nurt ruchu zawodowego, tworzonego przez pokazne jeszcze grono działaczy „branżowych”, którzy nie zamierzali wcale pogodzić się z przypisywaniem im — i ich związkowym instytucjom — całego zła...

Działacze „Solidarności” narzekają na brak szerszego dostępu do środków masowego przekazu, ale trzeba przyznać, że i zachowanie prasy czy telewizji wobec „starych” związków pozbawione nieraz jest obiektywizmu. Dochodzi do dezinformowania lub pokazywania tylko części prawdy, co niejednokrotnie przyczynia się do budowania skrzywionego obrazu działalności branżowych związkowców (ci zaś nie zawsze, niestety, odznaczają się dostateczną ofensywnością w prostowaniu tego obrazu). Przykładem może być głośna w grudniu ub. roku sprawa zaniżonych przydziałów niektórych artykułów

świętecznych dla Piotrkowa Tryb., w tym norm wędlin mniejszych niż w innych regionach. Nie wszystkim wiadomo, że już 13 grudnia ub. r. przeciwko tym przydziałom zaprotestowała Komisja Porozumiewawcza Branżowych Zw. Zaw. woj. piotrkowskiego, żądając zrównania przydziału mięsa i wędlin oraz ryb i sło-dyczy, proporcjonalnie do ilości mieszkańców, tak jak w woj. łódzkiej, katowickiej, warszawskiej. Chcąc poprzeć ten pisemny protest skierowany do wojewody, członkowie wspomnianej komisji zainicjowali akcję okupacyjną w piotrkowskim UW, a następnie w wyniku negocjacji w ministerstwie (16. 12.) uzyskali dla woj. piotrkowskiego na święta zwiększone dostawy m. in. mięsa, kurcząt i tłuszczy roślinnych; w końcu zaś prowadzili wraz z MKZ NSZZ „Solidarność” trudne rozmowy z władzami miasta i województwa, przypieczętowane zwiększeniem ustalonych wcześniej racji żywnościowych (19. 12.). Szkoda więc, że rola działaczy branżowych związków zawodowych obok przedstawicieli „Solidarności” została w całej tej sprawie pomniejszona albo przemilczana (złożony przez nich w „Głosie Robotniczym” komunikat po prostu nie ukazał się).

O tych i innych przykładach ograniczania działalności „starych” związków (z samoradnym ich „zawieszaniem” czy „rozwiązywaniem” włącznie) oraz dyskredytowania ich roli, mówiono podczas pierwszej konferencji prasowej, zorganizowanej w początkach stycznia przez Społeczną Komisję Porozumiewawczą Branżowych Związków Zawodowych, powołaną w Łodzi w listopadzie 1983 roku. Komisja ta skupia 17 branżowych związków działających na terenie WML (z wyjątkiem związku włókienniczy „Współpraca”) — na zasadzie dobrowolności i przestrzegania autonomii oraz samorządności poszczególnych wchodzących w jej skład organizacji.

Celem działalności komisji, która nie ma i nie chce mieć nie wspólnego z instancją obowiązkującą dotąd w LRZZ, jest wyłącznie wymiana doświadczeń, służąca rozwojowi ruchu związkowego, użądłaniu stanowisk różnych zwią-

Z INNYCH ŁAMÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

— Jest pani autorką kilku książek z najnowszych dzieł Polski...

— Nie tylko z dzieł Polski, ale również innych krajów. Bo historii Polski nie można odrywać od powszechnej. Tego mnie nauczyły moi kochani wuj — Stanisław Baczyński (ojciec Krzysia). Był on utalentowanym krytykiem literackim, wydawcą postępowego czasopisma „XX wiek” i „Europa”, przyjacielem mojego ojca — profesora Adama Zielenkiewicza, był w Legionach, brał udział w powstaniach śląskich. On mi pomógł zrozu-

nia 1941 r. Drugie wydanie ukazało się w 1968 roku. Pisałam tam o wielu sprawach, o których ówczesna nasza historiografia milczała, o sprawach trudnych i bolesnych nie tylko dla Polaków, również dla międzynarodowego ruchu komunistycznego. Myślę tu oczywiście o polityce Stalina w tym okresie, o taktyce Międzynarodówki Komunistycznej, o skłódkach, jakie przyniosły, o klęskach militarnych w pierwszym okresie po napaści Niemiec hitlerowskich na ZSRR. W tym czasie pracowałam w Uniwersytecie Warszawskim i w Wojskowej Akademii Politycznej, prowadząc wykłady i seminaria z historii Polski

TYM GORZEJ

mieć np. rolę Anglii w przewrocie majowym Piłsudskiego (z którym pokłócił się i odszedł z Biura Historycznego Sztabu Generalnego WP), a nawet wpływ rewolucji chińskiej 1925-1927 na wydarzenia w Polsce. Innym moim „konsultantem” był członek KC KPP, który siedział z Jankiem w jednej celi i wyszedł z więzienia niedługo po nim. Był to robotnik wykształcony w szkołach partyjnych w Moskwie. Przesiedział 10 lat w więzieniach za swoje przekonania. To wszystko oddziaływało na wyobraźnię. Byliśmy romantykami, chcieliśmy zmienić świat na lepszy. Okazało się to o wiele trudniejsze i bardziej skomplikowane niż myśleliśmy wówczas. Ale wracając do państwa pytania — pierwszą książkę wydałam w 1959 roku pt. „O wojnie i podziemiu”. Był to wybór moich artykułów z „Polityki” o polskim ruchu oporu. W 1960 r. wyszła moja druga praca „Rok przed klęską”, która doczekała się czterech wydań — o okresie przed wrześniem 1939 roku. Było tam wiele materiału również z dziejów Europy. W 1966 roku wyszły „Prawdy i fikcje”, obejmujące okres od 1 września 1939 do końca grud-

Ludowej. To było bardzo trudne, bo obowiązywały pewne tezy, wynikające z ustaleń propagandy, czyli oficjalnej wykładni, która nie znajdowała potwierdzenia w obiektywnej rzeczywistości, w badaniach naukowych. Trzeba było zdecydować się, czy pisać prawdę niepełną, okrojoną przez cenzurę, zawierającą przemilczenia, tzn. półprawdę, czy też przemilczować w ogóle z uprawiania tej dziedziny. Próbowałam powiedzieć maksimum prawdy, ale oczywiście zdawałam sobie sprawę, że nie można powiedzieć i napisać wszystkiego. Byłam zdania, że jednak rezygnować całkowicie z historii najnowszej nie należy, bo pozostaną na tym polu tylko ci, dla których fałszowanie historii jest profesją. Starałam się więc rozwiązać dylemat — również moralny — zgodnie z obowiązkami i sumieniem historyka, człowieka, który broni swych racji politycznych, służności określonej postawy, tej samej, którą zajmowałam przed wojną, w czasie okupacji i w pierwszych latach powojennych. Rezultatem moich badań były dwie książki, wydane jesienią 1972 roku — „Spór o Polskę” — szkice historyczne, oparte o wcześnie-

ków wobec zjawisk życia społecznego i gospodarczego. Komisja przestrzega zasady nie ingerowania w wewnętrzne sprawy poszczególnych związków, nie ma prawa podejmowania ich spraw wewnętrznych organizacyjnych. Nie rości sobie także prawa do reprezentowania poszczególnych związków. Żaden z nich nie jest zobowiązany do respektowania ustaleń komisji, jeśli w danej kwestii przedstawił podczas dyskusji i głosowania inny punkt widzenia niż pozostałe związki.

Te — jak widać — demokratyczne zasady funkcjonowania komisji zaprezentowano podczas wspomnianego spotkania z dziennikarzami, wskazując przy tym na korzyści, jakie płyną z tej próby zorganizowanego przeciwstawienia się groźbie rozproszenia działalności związkowej. Społeczni działacze komisji przedstawili również rozmaite przykłady utrudnień i nieporozumień, jakie napotykają w codziennej pracy związkowej, jednocześnie wyjaśnili przyczyny przynajmniej niektórych.

Zdaniem komisji winą leży nie tyle w złej woli czy braku tolerancji, co w niezrozumieniu prawnych podstaw działalności „starych” związków, kwestii przynależności, zasad gospodarowania związkowym majątkiem itp. spraw. Nie wyklucza to wszakże i takich przypadków, gdy u źródeł braku porozumienia między „starymi” a „nowymi” związkami leży chęć świadomego dezinformowania, podyktowana wolą zaostrenia wzajemnych stosunków.

Poważnym źródłem kontrowersji jest choćby kwestia przynależności związkowej. I znów przykład z Piotrkowa. Wpisano tam porozumienie między Woj. Spół. Kom. Porozum. Branż. Zw. Zaw. a MKZ NSZZ „Solidarność”. W punkcie szóstym „protokołu ustaleń”, jak nazwano ów dokument, stwierdzono, że członkiem związku zawodowego jest tylko ten pracownik, który złożył odpowiednią deklarację i został przyjęty. Po podpisaniu porozumienia MKZ „Solidarność” rozesłał do wszystkich zakładów pracy i instytucji pismo z własną interpretacją owego punktu. Wynika z niej, iż nowi członkowie „Solidarności” nie muszą składać żadnych oświadczeń o wy-

stępowaniu ze starych związków, ponieważ wszystkie one „legły likwidacji”.

Interpretacja taka — jak wyjaśniali członkowie łódzkiej komisji na wspomnianej konferencji prasowej — jest nie tylko niezgodna ze statutami branżowych związków, które fakt wystąpienia ze swych szeregów uzależniają od złożenia pisemnego oświadczenia. Jest sprzeczna również z trzynastym punktem statutu NSZZ „Solidarność” gdzie mówi się, iż członek tego związku nie może należeć do innego związku zawodowego

za sobą żadnych skutków prawnych dla branżowych związków. Również przeprowadzane przez ich ostatnie zjazdy zmiany nazw i statutów nie spowodowały utraty statusu legalności związków. Zostały one bowiem dokonane przez najwyższe władze organizacji i zgodnie z obowiązującym w nich prawem.

Tak to wygląda w świetle prawa i trudno dziwić się działaczom, że mówienie o „likwidacji” ich związków z chwilą wystąpienia z CRZZ budzi zaskoczenie, czy wręcz oburzenie. Podważanie statusu prawnego swych organizacji traktują oni jako próby łamania za-

racji w nowym związku — przez trzy miesiące przysługuje im jeszcze prawo do świadczeń z kasy dawnego związku. Tymczasem przepisy mówią, że prawo to dotyczy jedynie tych, którzy czasowo stracili pracę, a nie zaś tych, którzy dobrowolnie wystąpili ze związku. (Chodzi tu o takie świadczenia, jak zasiłki z tytułu urodzenia dziecka czy zgonu, zapomogi losowe, pomoc prawna itp.). Zupełnie bowiem inaczej przedstawia się prawo do korzystania z funduszu socjalnego w zakładzie — finansuje się z niego wczasy, kolonie, fundusze mieszkaniowe itp. Na prawo to przynależność związkowa nie ma żadnego wpływu.

Ale i w tej regule są wyjątki. Dotyczą one np. wczasów w domach i ośrodkach budowanych i utrzymywanych z funduszy poszczególnych związków branżowych. Zdaniem komisji będą z nich korzystać wyłącznie członkowie związków branżowych, chyba że dojdzie do podpisania odpowiednich porozumień w tej mierze z nowymi związkami. Łódzka Porozumiewawcza Komisja Branżowa Zw. Zaw. nie wyklucza takich możliwości. Zresztą, do końca 1980 roku z obiektów wypoczynkowych branżowych związków korzystali również członkowie NSZZ „Solidarność” i in. związków. Rozważa się możliwość przedłużenia tej praktyki na następne lata.

Szybkiego rozwiązania wymagają również zasady korzystania z Pracowniczej Kasy Zapomogowo-Pożyczkowej. Dotąd, tj. do września korzystali z niej jedynie członkowie branżowych związków. One też ponosiły materialną odpowiedzialność za zebrane składki. Jak to jednak ma wyglądać teraz, zwłaszcza tam, gdzie w jednej instytucji istnieje kilka związków zawodowych? Projekty są różne: podział odpowiedzialności (każdy związek odpowiadałby za składki swoich członków), obciążenie nią dyrekcji, stworzenie kasy zakładowej, niezależnej od jakiegokolwiek związku itp.

W wielu tego typu kwestiach siłą rzeczy muszą spotykać się — i zbliżać się do siebie — działania wszystkich ogniw związkowych. W interesie całych kolektywów. Trudno wyobrazić sobie rozwiązanie tych spraw bez ścisłej współpracy „starych” i „nowych” związków. Wspólnych punktów można zresztą znaleźć

więcej, także w tych sprawach, które wykraczają poza wewnętrzny składkowy czy związkowe problemy.

Należy do nich choćby kwestia wolnych sobót. Branżowe związki zawodowe, skupione w Spół. Kom. Porozum. w Łodzi zajęły tu stanowisko nie mniej stanowcze niż „Solidarność”. Odrzuciły one propozycję 8,5 godz. dnia pracy w zamian za wolne soboty, żądając 40-godzinnego tygodnia pracy z wolnymi sobotami bez odrabiania przypadających w tygodniu świąt, zgodnie z Porozumieniem z Jastrzębia. Członkowie łódzkiej komisji podkreślają, że niedopuszczalna jest jakiegokolwiek jednostronna decyzja rządu bez skonsultowania jej ze „starymi” i „nowymi” związkami. Dopóki to nie nastąpi, wolne powinny być wszystkie soboty.

Jak więc widać, działające w Łodzi i województwie ciało porozumiewawcze 17 branżowych związków zawodowych nie zamierza rezygnować z formułowania i prezentowania własnego stanowiska również w kluczowych sprawach naszego społeczno-gospodarczego życia. Określanie tego stanowiska służyć ma m. in. udział łódzkich działaczy w pracach Krajowej Komisji Porozumiewawczej Branż. Zw. Zaw., której przewodniczy szef Zw. Zaw. Prac. Łączności Albin Szyszka (podkreślmy jednak, że wojewódzkie komisje nie pozostają w żadnej zależności do Krajowej Komisji).

W swej działalności łódzka komisja ma zamiar ogarnąć szeroki zakres spraw naszego życia, wiele różnych dziedzin, jak np. handel, zaopatrzenie i usługi, budownictwo mieszkaniowe, służba zdrowia i opieka społeczna, oświata, sport i kultura. W tym celu projektuje się powoływanie społecznych zespołów problemowych, których zadaniem będzie zbieranie i opracowywanie materiałów oraz wysuwanie ocen w rozmaitych sprawach — dla przedstawienia ich władzom. Poza tym planuje się również powołanie Zespołu Pomocy Prawnej, który udzielałby niezbędnej, bezpłatnej pomocy wszystkim zainteresowanym członkom branżowych związków zawodowych.

MAREK STRUNA

NIE STRACIĆ UDZIAŁU

Po wypełnieniu deklaracji członkowskiej nowego związku nikt zatem nie przestaje być — automatycznie — członkiem starego.

Wyjaśnijmy, że żaden przepis prawa w PRL nie uzależniał istnienia związku zawodowego od istnienia zrzeszenia związków zawodowych i CRZZ. Były to dwa, zupełnie różne, podmioty prawa, od siebie — w sferze prawa — niezależne i autonomicznie decydujące o swym losie. Tak więc samo wystąpienie z CRZZ nie pozbawiło branżowych związków statusu legalności i osobowości prawnej: było wewnętrzną sprawą poszczególnych związków. Likwidacja Zrzeszenia i CRZZ, czyli likwidacja osoby prawnej, nie mogła pociągnąć

sady nieingerencji w wewnętrzną sprawę poszczególnych związków, prowadząc do niepotrzebnego zaangażowania stosunków w całym ruchu związkowym.

A to nam tylko psuje robotę, bo nie możemy się zająć problemami, które interesują stare i nowe związki i mogłyby być rozwiązywane wspólnie — mówią działacze komisji.

Ważną przyczyną nieporozumień i niejasności jest również brak lub słaba znajomość przepisów zwazkowych. Bywa ona powodem takich żądań i roszczeń, jak np. żądania zwrotu wpłaconych składek ze „starego” związku z chwilą przejścia do nowego. Niektórzy — byli członkowie uważają, że — mimo złożenia dekla-

niej opublikowane artykuły, recenzje i wykłady, obejmujące okres od 1918 roku do końca lat czterdziestych oraz „Zapis pierwszej dekady. 1945—1954”.

— W książce M. Turlejskiej zabrakło marksistowskiej analizy zjawisk historycznych (...). Dlatego też wbrew zapowiedziom autorki, publikacja ta nie stanowi dobrej pomocy dla studiujących historię najnowszą, lecz jest po prostu publikacją szkodliwą pod względem ideowym — tak kończyła się recenzja „Zapisu pierwszej dekady”, która ukazała się w „Nowych Drogach” w marcu 1973 roku.

— Przytoczył pan jedną z recenzji.

DLA FAKTÓW

Ukazały się również inne — np. w „Z pola walki” — również miażdżące, że to przykład „fałszywego rozumienia istoty i charakteru procesu historycznego po II wojnie światowej”, że sprowadzam historię współczesną „na manowce”, że dezorientuję czytelnika, „sugerując fałszywe wnioski ideowo-polityczne”, zamiast wyjaśnić „komu zawdzięcza Polska sukcesy, a kto odpowiada za niepowodzenia”. Chciałabym tu dodać, że początkowo ukazywały się pozytywne recenzje — w „Trybunie Ludu” i w „Polityce”. Dopiero później, gdy książkę wycofano z księgarń zorganizowana została nagonka. Do połowy stycznia 1973 roku, kiedy to się zaczęło, sprzedano już około połowy nakładu, tzn. około 10 tys. egzemplarzy. „Zapis” pomyślany był przez wydawcę, którym była „Książka i Wiedza”, jako pomoc dla studentów. Dlatego miał duży nakład, który też był krytykowany przez jednego z recenzentów.

— Nagonka — to mocne słowo. Czyżby recenzje „Zapisu pierwszej dekady” wywołały aż taki wpływ na Pani dalsze życie?

— Jak najbardziej. Pracowałam

wtedy nadal w WAP (Uniwersytet pojechał się ze mną już w 1965 roku). 16 lutego (pamiętam dobrze tę datę) zorganizowane zostało spotkanie szefów katedr historycznych, których zadaniem było poddanie mojej pracy druzgocącej krytyce. Nie tylko „Zapisu”... ale również skryptów z serii „Dzieje śląskości PRL”. Były to odredagowane przeze mnie tłumaczenia z opracowań autorów: trzech rosyjskich, dwóch francuskich, jednego niemieckiego i jednego czeskiego — skrócone rozdziały z książek o historii powojennej ZSRR, NRD i CSRS. Postawiono zarzuty, które parę miesięcy później sformułowane zostały w re-

cenzji, którą pan zacytował. 10 maja 1973 roku wręcono mi dokument, mówiący o rozwiązaniu ze mną pracy „z dniem 5 maja 1973 roku na podstawie art. 96 ust. 1 i 2 z dnia 27 kwietnia 1972 r. — Karta Praw i Obowiązków Nauczyciela i za zgodą prezesa Rady Ministrów”. Zajrzałam do Dziennika Ustaw nr 16, by dowiedzieć się, co głosi art. 96 i przeczytałam: „W wypadkach wyjątkowych stosunek pracy może być rozwiązany z mianowanym nauczycielem lub nauczycielem akademickim, którego działalność naukowa lub dydaktyczna albo oddziaływanie wychowawcze pozostaje w rażącej sprzeczności z zadaniami szkoły i szkoły wyższej”. Ustępn nr 2 mówił o tym, że zwolnienie w tym trybie profesora nadzwyczajnego i zwyczajnego wymaga zgody premiera. Proszono mnie o nierozgłaszanie tej decyzji i o to, bym pracowała jeszcze do końca roku akademickiego. Wzięłam więc udział w egzaminach magisterskich, prowadziłam wykłady i zajęcia. Obiecano mi zatrudnienie od 1 sierpnia w Mazowieckim Ośrodku Badań Naukowych. Ale ówczesny sekretarz Woje-

wódzkiego Komitetu Warszawskiego, któremu „podlegał” ten ośrodek, nie wyraził na to zgody. Trzeba dodać, że opinia, jaką otrzymywałam z miejsca pracy była pozytywna.

— Nikt nie usiłował Pani pomóc?

— Owszem znaleźli się tacy ludzie. Obszerną korekturę wysłał do redakcji „Nowych Drog” pisarz — Tadeusz Hołuj, poseł na Sejm. Udowodniał gołosłowność przytoczonej w recenzji argumentacji. Prof. Jerzy Tomaszewski wysłał list podobnej treści do „Z pola walki”. Żaden z tych listów nie został opublikowany. Dziś dowiaduję się, że jeden z tych listów ma być teraz wydrukowany. Ale wracajmy do 1973 roku. Byłam bez pracy. I co za tym idzie — bez zarobków. I bez perspektyw. Musiałam żyć z własnych oszczędności, które miałam dzięki książkom. Nie na długo to mogło wystarczyć. Obowiązywał poza tym zakaz druku moich artykułów. Byłam tym wszystkim przygnębiona. W listopadzie napisałam listy do Piotra Jaroszewicza i do Edwarda Gierka. Jak się można domyślić — żadnej odpowiedzi nie dostałam. Prof. Tomaszewski, na własną rękę, powiedział mi o tym po fakcie, napisał list w mojej sprawie do prof. Henryka Jabłońskiego, przewodniczącego Rady Państwa (był moim szefem na UW). To odniosło skutek. Otrzymałam trzy propozycje. Wybrałam archiwum Polskiej Akademii Nauk. Ale gdy wszystkie formalności już załatwiłam, prof. Kolanowski powiadomił mnie, że nie otrzymał zgody. W początku 1974 roku zaczęłam pracować w Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych na etacie starszego radcy.

— Co Pani tam robiła, profesor historii — urzędnikiem?

— Trzeba wyjaśnić, bo nawet wielu moich przyjaciół tego nie rozumiało: po pierwsze, dlaczego przestałam być profesorem, skoro nim byłam? Po drugie — dlaczego stałam się urzędnikiem, pracującym od godz. 8 rano do 16, z dyscypliną pracy (listę zabierano o 8.05, każde wyjście należało wpisywać do odpowiedniej księgi, również wyjście do archiwum czy biblioteki — w NDAP warsztatu pracy naukowej nie ma, bo to urząd nad archiwami). Dla kogoś, kto przez całe życie był organizatorem swego

czasu dzięki czemu mogłam pisać, mimo różnorodnych obowiązków — zawodowych i rodzinnych — przychodzenie i odchodzenie o określonej godzinie było gwałtem zadaniem mojej naturze. Stosunki w pracy ułożyły mi się dobrze, polubiłam koleżanki i kolegów (wielu z nich znajdowało się w podobnej jak ja sytuacji — byli „wycofani z obiegu”). Po jakimś roku otrzymałam prawo chodzenia trzy razy w tygodniu do archiwów i biblioteki w celu zbierania materiałów. Miałam zająć się publikacją źródeł. Przygotowałam zbiór dokumentów o kulturze, oświacie, nauce, propagandzie na Ziemach Odzyskanych w latach 1945—1949.

— Długo trwała ta anatema?

— W końcu 1974 r. minister powołał mnie na stanowisko profesora nadzwyczajnego (bo profesor to stopień naukowy, a nie etat), przestałam być starszym radcą, co zresztą nie zmieniło mego statusu urzędniczego. Wydrukowano mój artykuł w „Polityce” o raportach Spilkego z powstania warszawskiego — wszyscy się bardzo tym ucieszyli, nawet ci, co mnie nie znali osobiście. Ale gdy prof. Henryk Zieliński chciał mnie w 1975 roku zatrudnić we Wrocławiu na uniwersytecie, nie uzyskał zgody odpowiednich władz partyjnych w Warszawie.

— Jak Pani myśli, co się za tym kryło, kto był tego wszystkiego sprawcą?

— Doprawdy nie wiem. Mogę się tylko domyślać. Różnie o tym mówiono. Pewien znajomy, kiedy go spotkałam blisko 8 lat temu, żartobliwie pogroził mi palcem: Tego się kolegom nie robi! Wydać od razu dwie książki. Tego pani nie wybaczą. Niechć czy zawiść ludzka, do tego jeszcze dodatkowo męska (mogła mieć źródła w tym, że pierwsza wersja „Zapisu”, złożona w wydawnictwie „Wiedza Powszechna” pt. „Świat i Polska po wojnie” wyszła jako powielany skrypt WAP, w nakładzie 500 egz. w 1969 r.) otrzymała negatywne recenzje i została odrzucona, a mimo to ukazała się parę lat później. Recenzenci uznali to widocznie za osobistą obrazę. Inni mówili o bardziej złożonych przyczynach, tym bardziej, że „Zapis”, choć przeleżał dziewięć miesięcy w cenzurze — wy-

dany został w partyjnym wydawnictwie. Ktoś może jeszcze wyższy wpływ nał na wycofanie książki? Nie wiem.

— Z naszej rozmowy wynika się dość czarny obraz możliwości i ich granic przy pisaniu historii najnowszej.

— Tak było dotychczas. Mój przykład miał ostrzegać innych przed podejmowaniem pewnych tematów, przed wysuwaniem pewnych hipotez. I wydaje mi się, że osiągnął swój cel. Choć z drugiej strony — wiem, że moje książki, mimo że od lat nie wznawiane, znajdowały się w bibliotekach naukowych i publicznych, były zalecane jako literatura do egzaminów na wyższych uczelniach, słowem nie zostały wyłączone z obiegu. Funkcjonowały w życiu społecznym.

— Co więc pozostaje do napisania?

— Właściwie wszystko. Ja sama wiele rzeczy ujęłabym dzisiaj inaczej. Z mieszanymi uczuciami przygotowywałam II wydanie „Sporu o Polskę”. Tyle rzeczy widzę teraz odmiennie. Nie mogłam jednak zmieniać książki już raz wydanej. Trzeba napisać na nowo dzieło PRL. Wciąż istnieją „białe plamy”, puste obszary: 1948—1954, 1956, 1968, 1970, 1976. Taki polski kalendarz z wyrwanymi kartkami. Teraz spotykam się z młodzieżą — studentką, a także licealną. Ich wiedza jest niewielka. Zaspęją pytania prelegentów. Istnieje gwałtowna i uzasadniona potrzeba udzielania prawdziwych odpowiedzi na zadawane pytania. Trzeba też uczyć stawiania pytań o rzeczy ważne, najważniejsze, a nie o przypadkowe, powierzchniowe fakty.

— A więc historikom dziełom najnowszych nie grozi już przechodnia ludzi niepotrzebnych?

— Miejmy nadzieję.

— Gdzie Pani Profesor obecnie pracuje?

— Nigdzie. We wrześniu przesłam na własną prośbę na emeryturę — przedwcześnie, gdyż jako profesor mogę pracować do 70 roku życia.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
JACEK DUBIEL
(„Trybuna Robotnicza”)

W niedzielę, 11 stycznia, odbyło się na Wydziale Matematyki Uniwersytetu Łódzkiego spotkanie z Kazimierzem Świtoniem, zorganizowane przez „Solidarność” uniwersytecką.

Kazimierz Świton, sekretarz MKZ NSZZ „Solidarność” w Katowicach, przypomniał podczas niego początki nowego ruchu związkowego, którego był współorganizatorem. 23 lutego 1978 roku założył on, wraz z kilkoma innymi osobami, pierwszy Komitet Wolnych Związków Zawodowych w Katowicach.

Spotkanie, trwające kilka godzin, obfitowało w wiele wątków. Poruszano m. in. sprawę wolnych sobót (wielu członków „Solidarności”, podkreślając konieczność negocjacji na ten temat między rządem i związkami zawodowymi, wyrażało jednocześnie niepokój i obawę, że większa ilość dni wolnych od pracy pogłębi kryzys gospodarczy). Kazimierz Świton wywołał również temat uczestniczenia we władzach NSZZ „Solidarność” działaczy tzw. opozycji demokratycznej, powołując swoje stanowisko wyrażone wcześniej w wywiadzie dla „Polityki”, że „ludzie czynni politycznie nie powinni mieszać się do spraw związkowych”. Podczas spotkania na UL K. Świton stwierdził, że „doradcy powinni sobie siedzieć z boku i doradzać wtedy, kiedy zachodzi potrzeba, a nie prowadzić zebrań Komisji Krajowej, „Jedenastki”, lub siedzieć za przydzielonym stołem i prowadzić całych zebrań komisji krajowej” (chodzi tu m. in. o rolę Jacka Kuronia).

To i inne stwierdzenia, a także szczegółowe zarzuty kierowane pod adresem KSS KOR, wywołały polemikę podjętą przez dwóch uczestników spotkania. Jeden z tych głosów, wraz z replikami K. Świtonia, przytaczamy dziś w całości, według zapisu magnetofonowego. Jak się nam wydaje, ten epizod spotkania rzuca wiele światła na mało znane naszym Czytelnikom sprawy. Pozostawiamy tekst bez komentarza, bowiem według naszego mniemania komentuje się on samostannie. (Red.)

— Moje nazwisko **JOZEF SRENIOWSKI**, członek KOR, redaktor „Robotnika”. Panie Kazimierzu, bardzo mi przyjemnie, że spotkał się pan do długim niewiedzin. Chciałbym o coś zapytać, ale jeśli państwo pozwoli, to spróbuję... Czekam do końca, sądzę, że tu sporo jakichś nieporozumień czy pomyłek zaszło, między innymi mój komitet, Komitet Obrony Robotników, był tutaj parę razy wzmiankowany i tak się niefortunnie składa, że za każdym razem niezgodnie z prawdą, niezgodnie z faktami.

Jedno tylko sprostowanie czy wyjaśnienie, warto chyba złożyć. Prawdą jest fakt, który pan tutaj podał, że mianowicie, że KOR nie poinformował opinii publicznej o głodówce, którą pan podjął przed przyjazdem Ojca Świętego do Polski.

Istotnie, prawdziwy jest ten fakt, nawet między nami zasadniczy spór rozgorzał. Ten spór dotyczył, to nieinformowanie dotyczyło, czasu 24 godzin. Pierwszy raz KOR znalazł się w takiej dziwniej sytuacji, że Episkopat Polski usiłował wpłynąć na nas, żebyśmy wstrzymali informacje na ten temat i koledzy moi, Jacek

Kuroń i Anka Kowalska, którzy tę informację przekazali, zważali się. Informacja nadeszła w czwartek. Myśmy się w piątek zbiegli i do piątku wstrzymaliśmy się z podaniem tej informacji, uważając, że to będzie jakaś... przekroczyć swoje kompetencje. Nikt ich nie upoważnił do tego, żeby zajmować stanowisko w takiej, no, bądź co bądź, poważnej sprawie, skoro sam Episkopat tutaj się do nas zwrócił. I następnie tę informację podaliśmy.

Podaliśmy też szybko informację, tak szybko, jak mogliśmy, o tym, że Zdzisław Bradej(?) do pana tam wówczas dołączył, o czym pan omieszczał, zapomniał wspomnieć. Tutaj tak... mnie się zdaje, panie Kazimierzu, że, żeby tak wymierzyć sprawiedliwie jakoś proporcje, to staraliśmy się panu, i KOR i „Robot-

nik” Otóż Władysław Sulecki, dlatego tylko zaczął o tym mówić, państwo zapewne nie wszyscy są zorientowani, Władysław Sulecki, wreszcie, został zmuszony do emigracji. Władom bezpieczeństwa udało się taką presję wywrzeć na jego rodzinę, że ta cała rodzina postanowiła wyjechać z Polski do Republiki Federalnej (Niemiec), do „Reichu”, jak się mówi na Śląsku. Rodzina, której dziadek był rozstrzelany przez Gestapo za przechowywanie polskiego sztandaru. Tacy oni byli właśnie Niemcy, Suleccy. Żona Suleckiego, Klonek nazywa się, jak pamiętam. Otóż został wysłany do Śląska, i, dawno, w marcu ubiegłego roku, zmuszony, był opuścić Polskę.

Otóż ja mam jedno pytanie do pana, panie Kazimierzu. Czy pan zrobił coś w sprawie obro-

ODPOWIADAM NA PYTANIA...

(Ze spotkania z KAZIMIERZEM ŚWITONIEM)

nik” chyba zwłaszcza, i panu, i tej działalności waszego komitetu poświęcać dużo uwagi. Ja myślę, że proporcjonalnie nawet więcej niż skala, ranga tej działalności.

Uważaliśmy, że to jest bardzo ważna inicjatywa. To był pierwszy taki komitet, który powstał. Myśmy swoje pismo wydawali wcześniej, jakieś pół roku wcześniej zaczęliśmy je wydawać, ale to miało być pismo, które tylko służyłoby pomocą w powstawaniu tego typu reprezentacji robotniczych i pan był pierwszym, który się na taki akt zdobył, który tych ludzi zmobilizował. Zresztą, prawda skrzyknęliście się wtedy panowie całą grupą. Działaczem bardzo wytrwałym, i działaczem, któremu chyba wiele by trzeba oddać, wiele by trzeba mówić o nim, był Władysław Sulecki.

To był górnik kopalni „Gliwice”, który od samego początku był blisko z panem i waszym komitetem związany. Był chyba założycielem, jeśli mnie pamięć nie myli, komitetu wolnych związków zawodowych w Katowicach. Władysław Sulecki, który, no, z taką, to trudno nawet państwu powiedzieć, jakiego rodzaju samoparciem prowadził to działanie. Prowadził je na co dzień, nie tylko, prawda, tak reklamując je, ale rzeczywiście chodząc po Gliwicach, po całej okolicy, nawiązując kontakty z górnikami, wspomagając ich, kiedy te kontakty nabrały na opór władz bezpieczeństwa, kolportując pismo „Robotnika”, potem kolportując „Ruch związkowy”. Kolportował jeszcze inne, jeszcze inne pisma; był stałym korespondentem ze Śląska i stąd wiadomości i o waszym komitecie i o tym, co się dzieje na Śląsku, zamieszczaliśmy proporcjonalnie dość dużo.

Jeśli chodzi o te wypadki, o których pan mówił to cały numer „Robotnika” poświęciliśmy tej sprawie, przestudiowaliśmy ją dość dokładnie. Byliśmy chyba pierwsi, którzy bardzo dokładnie, nie tylko powołując się na poszczególne przykłady, że nie kupiono jakiegos urzędzenia, takiego tunelu, prawdę, azbestowego, czy coś innego, tylko analizowaliśmy, jak w ogóle doszło do tych katastrof. Państwo pamiętacie, była taka czarna seria w górnictwie. Czterdzieści, czy pięćdziesiąt lat temu była również tragiczna sytuacja na Śląsku. Więc nam trochę trzeba było czasu. I potem pisaliśmy o tym obszernie.

ny Suleckiego, a szczególnie obecnie w sprawie możliwości powrotu Władysława Suleckiego na Śląsk, do kopalni „Gliwice”.

I jeszcze jedno pytanie, jeśli pan pozwoli. W pana obronie nieraz angażowałem się...

KAZIMIERZ ŚWITON: — Niech ja panu odpowiem na to pierwsze pytanie. Co ja zrobiłem... Ja jestem troszkę innego zdania, proszę państwa. Na mnie też wywierano presję, na moją rodzinę, ja nie wyjechałem. Nie było to zmuszenie do wyjazdu. Dlatego mam trochę odmienne zdanie, proszę pana. Wyście zrobili ogromny szum wokół Suleckiego, a wtedy człowiek ten nie musiał wcale wyjeżdżać. Nie wiem dlaczego żeście taki szum robili koło niego. A dlaczego żeście mojego listu nie zamieścili do „Robotnika”? Proszę mi wyjaśnić. Ja mogę teraz panu zadać pytanie... Dlaczego mimo kilkakrotnych interwencji w tej sprawie, u Wójcika(?) u Kuronia, mój list nie został opublikowany a co do Suleckiego, mam zupełnie inne zdanie proszę pana, i nie chciałbym tu ruszać człowieka, który jest już za granicą, niech sobie tam spokojnie jest. Proszę państwa, on mógł zostać, mnie na nim bardzo zależało. Namawiałem Suleckiego — zostań Władek, bo ty tam nie będziesz miał życia. Tu jesteś potrzebny. A pojechał. Moją żonę też próbowałem... A jednak nie pojechała.

J. SRENIOWSKI: — Jak każda redakcja, mieliśmy możliwość wyboru, co opublikujemy, a czego nie. (Sala śmieje się). Wydawało się nam, że pański list po prostu zawiera szlachetny apel, ale nie zawiera żadnych konkretnych informacji o sytuacji, jaka jest na Śląsku. To był ten powód, co prawda nie byłam przy tym, ale tak sądzę, że taki był powód, że taki był generalny powód, że nie o wszystkich inicjatywach pańskich mogliśmy pisać. Po prostu nie mogliśmy panu w całości pisma poświęcić. KOR w tym czasie sporo rzeczy działał, w różnych środowiskach robotniczych...

K. ŚWITON: — „Dwa listy proszę pana tylko, dwie strony. I nie było miejsca”. A druga rzecz proszę pana, dlaczego było tyle miejsca dla Suleckiego? (Śmiechy). Który uciekał, szczerze mówiąc... Taka jest prawda, proszę państwa. Prosiłem go, żeby nie pojechał. Kto za niego pisał ten list? To nie on napisał list, tylko wyście napisali. Ten, który w „Robotniku”

(był) zamieszczony. On tylko się pod nim podpisał. (Śmiechy). To była wola redakcji „Robotnika”...

J. SRENIOWSKI: — Ten list, to jest takie wyznanie Władysława Suleckiego, bardzo dramatyczne, w momencie, kiedy musi wbrew sobie wyjechać z Polski, bo nie chce się rozstać ze swoją rodziną. On został w całej tej sprawie, można powiedzieć, ubezwłasnowolniony. Wyjeżdżał z Polski, mimo, że żadnych dokumentów na wyjazd sam nie złożył. Dokumenty złożyła za niego i pod naciskiem, jego żona, i to ona je podpisała. Więc on był w takiej sytuacji trudnej... (Śmiechy, szum na sali). Nie wiem czy państwo sobie mogą ją uziścić. W takiej sytuacji, kiedy mógł wyjechać z rodziną, trzema córkami i żoną, rozłączając się z rodziną, nie mając pewnie szans na to, żeby tę rodzinę odwiedzać. Starając się uzyskać, w momencie, kiedy żona już tę sprawę przypieczętowała, starał się uzyskać paszport na wielokrotne przekraczanie granicy (śmiechy, oklaski). Przeczuję bardzo, że zająłem uwagę państwa osobą Władysława Suleckiego. Ja sądzę, że warto by było umożliwić mu powrót.

Panie Kazimierzu, właśnie ten list, o który pan pytał, to jest list Władysława Suleckiego z tym, że ten list pomógł mu zrehabilitować Jurka Geresz, którego pan dobrze zna. To jest działacz KOR, który pana wiele razy odwiedzał, a nawet, jak pan pamięta, był przypalany papierosami za te odwiedziny. Ja chciałem zapytać, jak mam taki fakt, że Jerzy Geresz, który działał w biurze interwencyjnym KOR, przyjechał na Śląsk i tam było kolegium przeciwko jednemu z takich działaczy społecznych na Śląsku. Geresz się do pana zwrócił z prośbą, żeby pan był łaskaw, znając tego działacza, zjawić się na tym kolegium, bo sama pana osoba, pana nazwisko, wywrze dobry wpływ na kolegium, które będzie pewnie ucziwile sprawę rozpatrywało. O ile wiem, pan nie mógł się zjawić, pan go wyrzucił za drzwi.

K. ŚWITON: — Kogo wyrzuciłem za drzwi?

J. SRENIOWSKI: — Geresza.

K. ŚWITON: — Geresza? Proszę pana, wie pan co, ja lubię wszystko, tylko nie lubię kłamstwa. Bardzo mi przykro, wie pan, że człowiek KOR, tak znacznej instytucji, prosił pana, kłami. O tym panu powiem proszę pana, wie pan, że mi jest bardzo przykro. Nikogo jeszcze nie wyrzuciłem za drzwi. A tym bardziej Geresza. To jest mój przyjaciel z głodówki. I niech pan takich rzeczy nie powtarza, jeśli ktoś panu kłamliwie informacje podsunął. Bardzo pana proszę.

J. SRENIOWSKI: — Jeszcze pana prosiłbym o odpowiedź na pytanie. Czy pan mógł w tym kolegium uczestniczyć?

K. ŚWITON: — Proszę pana, nie mogłem uczestniczyć, bo to było kolegium, proszę pana, pana Łaszka.

Pan wie, proszę pana, kto jest pan Łaszek. Doskonale. Lepiej ode mnie, proszę pana. To jest pijak. I dlatego ja mam „bronić pijaka”. Pan doskonale o tym wie. I dosyć kompromitacji zrobił, proszę pana, nie tylko mnie, ale panu (nazwisko nieczytelne) i innym, tym swoim postępowaniem. To nie jest działalność polityczna, ani społeczna pana Łaszka.

GŁOS Z SALI: — Ja jestem robotnikiem, tak jak i pan. Naprawdę, proszę pana, mnie nie interesuje rozgrywka między panem i panem Kuroniem. Chciałbym się dowiedzieć, co dalej ze związkami (...). A to, co tam panowie sobie mówiliście, to mnie to nie... (Okłaski).

K. ŚWITON: — Proszę pana, ja odpowiadam na pytania, nie steruję dyskusją. Proszę do mnie nie mieć żalu. Jeżeli ktoś się pyta — to ja mam obowiązek odpowiedzieć.

ANDRZEJ
WILCZKOWSKI

WOLNY
GŁOS
W SPRAWIE
WOLNYCH
SOBÓT

Walka o wolne soboty z obydwóch stron nie wyglądała dobrze i zaczyna mnie mierzć. Byłoby to może bardzo ładny spektakl — te dwie grupy strażaków przeciagających jedną linę — gdyby nie był taki smutny.

W porozumieniach gdańskich, szczecińskich i jastrzębskich zdobyliśmy — jako obywatele — pewne przywileje, strzeżone przez związek „Solidarność”, którego jestem członkiem, działaczem i zagorzałym zwo-

lennikiem. Dotychczas popierałem wszystkie akcje związku. Z tą się nie zgadzam. Piszę ostro, bo inaczej nie umiem.

Przyjrzyjmy się zagadnieniu. W walce o wolne soboty rząd narusza aż dwa ze zdobytych przywilejów: jeden — aby tak ważne sprawy były z nami konsultowane, czyli, nazywając rzecz po imieniu — nie o nas bez nas — drugi to wyneogocowanie w Jastrzębiu wszystkie wolne soboty w roku.

Celowo używam słowa „przywilej” gdyż ma to właśnie ten charakter zmniejszenia omnipotencji władzy na rzecz społeczeństwa. Pomni niedawnych doświadczeń obawiamy się, aby krok po kroku nie odebrano nam tych zdobytych. Mamy do nich prawo, gdyż w ludowym państwie wsłuchiwanie się w głos opinii społecznej nie jest niczym dziwnym. Nie mniej uszytowanie stanowiska w tej akurat sprawie jest co najmniej dyskusyjne.

Po pierwsze było zupełnie dostatecznie dużo czasu aby obie strony — gdyby miały szczere chęci — uzgodniły wspólne stanowisko, które z porozumienia ma obowiązywać w tym punkcie na terenie całego kraju. Nie ulega kwestii, że niejako dekalogiem związkowym stały się porozumienia gdańskie, a właśnie one nie przesądzały, że wszystkie wolne soboty w roku 1981 mają być wolne. Tu nieścisła żadna ze stron nie ma dostatecznego wytłumaczenia. Sprawa nie została wyjaśniona do końca, a w każdym razie negocjacje nie przeknięły do opinii publicznej. Ani w prasie państwowej, ani związkowej nie rozpatrano na ten temat dyskusji. I dziś, kiedy dochodzi do realizacji, obie strony są odpowiedzialne za brak porozumienia w społeczeństwie. Nie każdy dysponuje tekstami porozumień, nie każdy pamięta co gdzie i kiedy było napisane. Trzeba to było narodowi przypomnieć wcześniej, a nie wyciągać, jak asa z rękawa dziś kiedy emocje rosną i ludzie zastanawiają się kto ma rację. A jest — nad czym zastanawiać, bo sprawa jest bardzo poważna. Kiedy w końcu sierpnia zawierane były porozumienia, opinia publiczna była poinformowana o stanie naszej gospodarki

w znacznie mniejszym stopniu, niż obecnie. Karmieni przez całe lata propagandą sukcesu ludzie w znacznym odsetku byli przekonani, że stać nas już nieomal na wszystko — jeżeli stać nas na bardzo wystawne życie części dostojników i ich rodzin. Dziś wiemy znacznie więcej. Gospodarka upadła bardzo nisko, chociaż ciągle nie wiemy gdzie jest dno.

Nie wiemy, bo nikt jeszcze się nie rozliczył z dwudziestu pożyczonych miliardów, bo z podawanych wiadomości nie można w żaden sposób dojść ile zyskujemy z eksportu węgla, miedzi, że siarki, i ile nam rzeczywiście brakuje do tego, aby w realny sposób spłacać zadłużenia, bo nam na przykład nikt nie wyjaśnił kto jest odpowiedzialny za to, że niedolnego ministra budownictwa stawia się na stanowisko pełnomocnika rządu do spraw energetyki i na Boga — po co, kiedy istnieje minister tego resortu. Tytuł rządu, a opał w elektrociepłowniach na zimę zabrakło.

Wiemy, że sytuacja rynkowa jest tragiczna. Własnymi reklamami, a raczej żądaniami doprowadziliśmy do znacznego wzrostu inflacji i to nasza sprawa — może nam z tym dobrze. W każdym razie giedla nowojorska od tego nie zadrży — to pewnie.

Wygląda na to, że sugeruje się nam, iż letnie strajki doprowadziły do obecnej sytuacji rynkowej, ale mamy przeciwko temu wiele mocnych argumentów.

Przerzucanie odpowiedzialności nie pomoże. To dzieci tak się bawią, że wskazując na siebie palcami rodzinami wołają — o j dobra, o j dobra, o j dobra... Dorosłym nie wypada. Grzeźniemy tymczasem w trudnościach gospodarczych, które nieodwrotnie muszą pociągnąć za sobą trudności polityczne.

Spróbujmy popatrzeć, jak to wygląda z daleka, z miejsca gdzie nie docierają nasze argumenty. A wygląda to tak: Polacy zrujnowali swoją gospodarkę, cały świat chce im pomóc, a oni sami kłocą się o to jak często mają wypocząć. Gesty protestu w stosunku do tych słów na nie się nie zdadza. To tak wygląda, bo nikt oprócz nas i pewnej ilości ekonomistów poza granicami nie

wchodzi w szczegóły: którzy Polacy zrujnowali gospodarkę, a którzy chcą wypocząć, nie bardzo ufając, czy ich praca się przyda do odbudowy.

Poza stanowiskiem rządu, które się nam nie podoba — bo nie zostało z nami w dostatecznej mierze uzgodnione — jest jeszcze dobro ojczyzny i ono jest ponad wszystkim, a więc i pryncypialnym stanowiskiem — kto kogo ma prosić i o co.

Czy te bite trzy tygodnie pracy, traczone przez gospodarkę rocznie w wyniku spornych dwóch sobót wolnych w miesiacu są warunkiem dostatecznym do wywyższenia gospodarki? — nie wiem, pewnie nie. Wiem natomiast, że powinniśmy zarzykować, bo ich brak może w ogromnej mierze zaważyć, a przede wszystkim zwała na nasze barki część odpowiedzialności.

Pracujemy dla siebie i dla kraju. Nazwijmy to jak chcemy — pożyczką narodową pracy — wszystko jedno. Fundusz wolnych sobót w roku 1981 powinien być funduszem materialnym gospodarki a nie zdobyczą socjalną. Rozumiem to prosto. Te zakłady, które nie mają surowca na cały tydzień pracy, powinny stosować pięcio-, a nawet czterodniowy cykl produkcyjny, a potem niech ludzie idą do domu, tam też jest praca. Te, które stać na ciągłą pracę we wszystkie dni, niech się zadowolą dwiema wolnymi sobotami w miesiacu.

Obrabiamy się na rząd, że nie chce się z nami konsultować. Wygląda tak jakbyśmy Polskę uważali za własność rządu, podczas, gdy ona jest nasza. Nie oddawajmy jej imienia na poszarpanie!

Gdzieś tam już ponoć obciążono dodatkową opłatą pastę do zębów, pisząc na tubce, że to pomoc dla biedującej Polski i teraz jej imieniem ktoś sobie żęby czyści. Maluczko, a jakiś dowiecipiejszy naród wydrukuję takie słowa na banderoli papieru toaletowego. Dość, nie wolno nam na to pozwolić. Pokolenia całe ginęły, czasem w pohańbieniu, aby tylko dodać blasku Jej imieniu a my pozwalamy zrobić z niej zebraczkę.

Cały świat, który jeszcze dziś się nad nami lituje niedługo zacznie re-

chotać ze śmiechu. — Co to za naród, który ma do dyspozycji węgiel, siarkę, miedź, srebro, jeszcze ma ostatek ropy siłki, któremu nieomal każdy hektar ziemi rości, który pod względem gęstości zaludnienia znajduje się na czternastym miejscu w Europie, a leży gospodarczo na obie łopatkach i ani drgnie.

Nie ma takich nieporozumień wewnętrznych, które by to sankcjonowały. Czyżbyśmy chcieli wziąć współodpowiedzialność za upadek ojczyzny? A może w ogóle komuś na tym zależy?

Jeśli Ona nas nic nie obchodzi, to walczmy dalej. Na początek o wolne piątki. W poniedziałek też jest trudno przychodzić do pracy po tylu dniach przerwy. Przynajmniej będziemy mieli trochę czasu, aby obstarwiać, kto następny przy podcieraniu uroni że nad marną dolą Polaków.

Bardzo się zrobiliśmy obrażliwi. To, że rozczochrany minister krzywo spojrzal z telewizora, a to, że sekretarz mówił o nas brzydki przy każdym poprawieniu okularów — no to co? Zadajmy sobie jeszcze raz podstawowe pytanie — dla kogo pracujemy?

Ja wiem, że gospodarka nasza została w ostatnich latach tak zdezorganizowana, że nasz wzmoczony wysiłek, bez zmian w zarządzaniu niewiele wniesie — ale coś wniesie. Nie bójmy się tak okropnie, że stracimy twarz ustępując w sprawie wolnych sobót, że będzie to krok do dalszych ustępstw z wywalczonych przywilejów. Jest coś ponad przywilejami. Czyżby dziś w szkole nie uczono bardzo starego wiersza, który ja poznałem czterdzieści lat temu i jeszcze go cytuję z pamięci:

Dla Ciebie zjadł smakuja trucizny
Dla Ciebie więzy — pięta niezływe
Byle Cię tylko wspomóc, byle

Nie żał żyć w nędzy, nie żał
i umierać.

Początku nie przytoczyłem, bo bałem się, żeby nie wypadło zbyt pompatycznie. Ponieważ jednak autor z górą dwadzieścia lat temu się nie wstydział, więc dodam: święta miłość kochanej Ojczyzny.

ROMAN GORZELSKI

JESTEM

Ja jestem tym człowiekiem ze skrzydłami
idę wśród drzew i łak
coś z tego — nie ma nade mną nieba

to ja jestem tym człowiekiem mozolnie budującym
z kropli deszczu i z ziaren piasku
ze słowa o przyszłości z uścisku dłoni
— dom buduję ja nurek pod wodą

jestem tym człowiekiem któremu ktoś
rzeźbi na policzkach brudzy
któremu ktoś przylepia omszałą brodę
któremu ktoś pokazuje piękne kobiety przez szybę

ja jestem tym człowiekiem z płaszczem do samej ziemi
z płaszczem rozpaczy podszycym wiatrem
używającym pomarszczonych słów
gdzie na promieniach wpadających do mego pokoju
są wygrawerowane złote myśli słońca

NAJCHĘTNIEJ
PODSŁUCHUJĘ
ZAKOCHANYCH

Nigdy nie jestem głodny
żywję się wodą wiatrem opowieścią przygodną
(najchętniej podsłuchuję zakochanych)
— w deszcz i w śnieg w mróz i w upał
zawsze jestem bez czapki
owszem lubię mnie ludzie ale nikt mnie nie kocha
jestem sobie takim parkowym cichochołdem
mam zszargane ubranie i za duże buty
nie opodał stoł ławka na której w pogodne dni
siadają młodzi i starzy: lubię słuchać o czym mówią
mam żelazne zdrowie i potworną siłę
na mojej wyciągniętej prawej ręce
niedawno powiedział się pewien samotny mężczyzna:
mówi się że on zrobił to ponieważ zdradzała go żona
może był chory na raka i wołał to załatwić od razu
— a ja jestem tylko pomnikiem ze spiżu
na którym odpoczywają czasem
wędrownie ptaki

DZIŚ

Dziś w nocy odpadła mi głowa
potoczyła się po stole i zniknęła za drzwiami
w którymś pokoju sam nie wiem
zresztą niech ona opowie co się działo
kiedy ja siedziałem przy stole
podczas uczt weselnej
: wszyscy do mnie mieli pretensje że nie piję
(jakże mogłem pić nie mając gardła)
mili do mnie żal że nie zachwycam się panną młodą
(jakże mogłem to czynić nie mając oczu)
brano mi za złe że nie krzyczę: gorzko mi
(w jaki sposób mogłem krzyżeć bez ust)
czemu nie wyglądam mądrych sentencji — pytano
(ale jak to zrobić nie mając mózgu)
panie miały do mnie pretensje że nie tańczę
w rytm skocznej muzyki
(jak mogłem tańczyć bez uszu)
wprawdzie inni współbiedniacy pomimo braku głów
zachowywali się pozornie normalnie
— ale dla mnie na to jeszcze za wcześnie

MIASTO
WRZEŚNIOWE
O ZACHODZIE
SŁOŃCA

Jakiś mężczyzna słucha radia: głucho dudni rój fal
i jak lance ułańskie do bólu przebijają purpurową tkaninę pamięci

Jakaś dziewczyna stoi na przystanku
skąd żaden tramwaj od dawna nie odjechał
— ktoś na nią czeka na drugim końcu miasta

Jakaś kobieta cierpliwie stoi w huczącej tkalni
pogodziła się już z tym że pan kierownik źle ją traktuje

Jakiś chłopak biegnie do domu jak maratończyk
z radosną nowiną o sobie tylko znanym zwycięstwie

Jakiś stary robotnik idzie i uśmiecha się
— wszystko się zmienia wszystko się powtarza — mówi do siebie
i martwi się że znowu będzie miał kłopoty z zimną

Jakiś dygnitarz nie martwi się że utracił stanowisko
boi się aresztowania za popełnione (z przyzwyczajenia) nadużycia

— na ulicach nie widać pijanych tylko stada rowerzystów
pieszych i tych w samochodach czarnych luksusowych

Podróż z Kijowa, tonącego w
zaspach, przez zablokowany
Lwów, rozsolneczony Wiedeń,
Genewę w wiosennej u-
lewie. Śniegi na Ukrainie. Od-
wiliż w Galicji. Coraz promien-
niejsza wiosna im bliżej Pro-
wansji. Przesiadki. Przydwor-
cowe hoteliki. Sprawdzone
przez innych, godne rekomen-
dacji restauracje. Zatem fon-
due w Zurychu, wcale dobre,
choć ciężkostrawne. A w Lyo-
nie pularda z Bresse, pychał!
Teraz przedział kolejowy pier-
wszej klasy, Czerwony, wytła-
czony plusz. Złocenia, jedwab-
ne sznury, mleczne ampie. Na
ścianach dwa lustra. Wszyst-
ko to wskrzesza wyblakłe
wspomnienia: czy nie zakład
madame Dufour w Odessie?

Na Wołyniu, Podolu, na nad-
dnieprzu nowobogactwa wsze-
dzie się teraz szarogłasy. Tu,
w przedziale źle w Genewie
doradzonego pociągu, taki sam
typowy nuworisz: z brzuchem
obwieszonym złotymi brelokami,
emigrującego. Jego wy-
flokowana żona, nadużywająca
perfum, szeleszcząca preten-
sjonalnymi jedwabiami. Dzie-
sięciolećni, depczący po no-
gach, źle wychowany bachor.
Od razu wzięli przedział we
władanie. Koszy z wiktualiami.
Zalutujące czosnkiem jedzenie.
Przykra dla współtowarzysza
podróżu gadatliwość. Niedys-
kretna. Fatalne maniery.

Konduktor przyjął bez mrug-
nięcia wspaniałą w garść mo-
netę, potem zawiłe tłumaczył,
że pociąg aż do Lyonu jest
zawsze przepełniony. Istotnie,
w Lyonie wracający do domu
francuski tekstylszczyk wy-
niósł się wraz z rodziną. Go-
dzina przerwy w podróży. Po-
tem nareszcie sam. Nikt na
szczęście nie wsiadł do prze-
działu. Aż do Marsylii podróż
lepsza. Tury jakby gładziej-
sze. Mniej trzęsie. Uchylone okno,
a w nim trzepot firanki. Po-
wietrze ostre i orzeźwiające,
zaprawione gorzkim dymem.

Bobrowski zrzucił surdut,
rozluźnił krawat. Ujrzał swą
postarzałą twarz w lustrze.
Łysa czaszka, worki pod ocz-
mi, sine wargi. Uroda Bobrow-
skich! Pusty przedział zapełnił
się od razu widmami. Wspom-
nienie siostry Eweliny, oto-
czony wielbicielami. Uroda
Bobrowskich! Staś, huzar
wspaniały, uwodziciel i poje-
dynkowiec, kochanek, po-
strach mężów. Uroda Bobrow-
skich! Drugi brat Kazimierz
jaki piękny! Choć w później-
szym wieku ślamazarny nie-
udacznik w służbie. Tylko
Stefan, inny: wypalony na żu-
żel, półślep, czytający na
przemiętym, do jednego, do dru-
gim okiem, z nieodłącznym pa-
pirosem w kąciku ust. Dok-
tryner o twarzy ascety. W dys-
kusjach irytujący autorytatyw-
ny. Spalający swe młode życie
w spiskach: Kijów, Petersburg,
Warszawa, Kraków, Wiedeń,
Paryż — i gdzie jeszcze?

Bobrowski ściga kamaszki,
kładzie się na kanapie, west-
chnienie, prawie jęk ulgi. Je-
szcze jeden twardy podgło-
wek wcisnąć w kąt kanapy.
Ułożyć się wygodnie. Nie my-
śleć. Zasnąć. W ustach gorz-
ki posmak. Wzrostki. W pal-
cach zamiast cukierka szele-
ści wielokrotnie złożona kart-
ka szorstkiego papieru. Roz-
wijają ją i wyglądają. Raz jesz-
cze czyta: „Conrad blessé, en-
voyez argent, arrivez”.

W końcu stycznia nadszedł
list z żądaniem wykupu zapro-
testowanego weksla Konradka
na niebagatelną sumę tysiąca
franków. Wysłał wtedy do
Marsylii reprimendę, domagał
się wyjaśnień. Odpowiedzi
siostrzeńca (choćby, jak zwy-
kle, miała tylko zirytować) jak
nie było, tak nie było. Może
list utknął na poczcie w Li-
pówcu? Pocztmistrz, pijaczyna,
brał rubla miesiecznie za szcze-
gólną pieczę nad koresponden-
cją jasnie pana z Kazimie-
rówką. Lecz co im, tym czy-
nowiczkom! Przywykli brać.
Ale wywiązać się?

W lutym ruszył na kontrak-
ty do Kijowa, by nurzać się
w ziemlańskiej, pokrętniej ju-
rysprudencji. W tym roku zły
był ten luty. Niepokojące wie-
ści z Galicji. Jakies niedobre
przeżycia. Walizki wciąż na
wzrostki. Aż niemal
jednocześnie przywieziony z
Lipowca przez służbę telegram
z Marsylii i podobnej treści
drugi od brata Kazimierza. W
hotelowym gabinecie Bobrow-

ski przy biurku, wpatrzony w
blankiet telegramu, dedykuję
właściwe znaczenie może i
przekreślonych słów. Fecht pod-
pisał. Solidny Niemiec. Trze-
ba wierzyć, że żadnej w tele-
gramie przesady. Arrivez! Za-
tem wszystko się znów powta-
rza? Bogowie znów się śmieją?

Dzięki poprawnym stosun-
kom z kolejnymi general-gu-
bernatorami (od hrabiego Le-
waszowa począwszy, z lepszej
pamięci księciem Wasilcziko-
wym, a potem nawet z kana-
lowatymi Bezakami i Kazna-
wami) możliwe to uzyskanie
paszportu w skróconym ter-
minie. Życzliwość osób znaczą-
cych, dla których on, Bobrow-
ski, jest — mimo iż Polak —
człowiekiem godnym szacunku.
I źle skrywane lekceważenie
drobnych czynowników, tej
napierającej na Ukrainę po-
kleśce lat sześćdziesiątych ho-
łoty, która z nikogo nic sobie
nie robi, maskując to pozora-
mi czolobitności. Nie obywa
się bez pytań o cel podróży.
Bobrowski daje wymijające

wielki jak spodek. Trzeba
wzwać kamaszki. Usiąść wy-
godnie. Zapatrzenie w okno
przedziału. Na dworze od
wschodu robi się niebiesko.
Piękny rozfalowany krajobraz.
W ostatnich poblaskach, zło-
to podmalowane obłoki. Wi-
dok bogatszy niż zawiane mar-
cowym śniegiem stopy podber-
dycowskie. Znow coś na
kształt wyrzutu sumienia: to
ja wysłałem Konradka w
świat. Na radzie rodzinnej ja
jeden nie wysłałem mrzo-
nek chłopca o morskich pod-
różach, śmiałych eksploracjach.
Lecz czy Konradek mógł zo-
stać w Galicji? Był przecież
nadał poddany cara. Cóż z
tego, że Galicja zmienia się w
polski Piemont. Czy to potrwa?
Ileż to razy łączyła nas Au-
stria, zwiódła Francja? Nie-
gdyś na uniwersytetach w krę-
gach spiskujących młodzieży
chorzej na wielką narodową go-
raczkę, romantyzm, złośliwi
nazywali Tadeusza libertynem
i Francuzem. Paradoks: nigdy
Francji nie lubił, nie znał i nie
był ciekawy. Poznał ją Ste-

skich krewnych. Jedyny czło-
wiek, który go dobrze rozu-
miał. Spasowicz, powiedział
kiedyś: Tadeusz, jesteś czło-
wiekiem nie uczuć, nie serca. Je-
steś uczciwy, prawy, lecz zim-
ny. Zimny? Bobrowski rzadko
zaglądał do rodzinnego albu-
mu, ale gdy to mu się zdarza-
ło, na wąskich wargach miał
wówczas cień uśmiechu. Do-
strzegł swą inność: nic z dra-
perii romantycznych, żadnych
udawań, ani śladu poży.

Znow sprawa Konradka
przesłania tamte obrazy. Bles-
se? A może Fecht, myślał o
krwotoku? Jeśli zastanę chło-
pca żywego — takie pesymi-
styczno-ostrożne sformułowa-
nie, bo nawiązał do śmierci w
najbliższym kręgu rodziny —
jeśli zatem Konradek, żyje,
zapewne trzeba go będzie le-
czyć. A Bobrowski nie wierzy
w medycynę. Nie pomaga E-
welinie, Zonie, Córce. Bra-
tu. Ojcu Konrada. Lecz i nie
sposób medycyny lekceważyć.
Pięta? Capri lub Szwajcaria?
Wyjazd jak przed laty z ko-
repetytorem-guwerнером pul-
manem. Skąd brać fundusze
na takie kuracje? Chłopak jest
biedny jak mysz kościelna.

Nawyk, odruch: sięgnąć do
wewnętrznej kieszeni surduta.
Dobrych z niej notes w skór-
nej oprawie. To księga głów-
na buchalterii starannie pro-
wadzonej, tu wpisano każdy
grosz. Jeśli Konradek żyje,
trzeba będzie z nim mówić o
pieniądzach. O ich trwonienu.
O nerwach godnych Nałęczu.
Taka rozmowa jest moim obo-
wiązkiem, myśli Bobrowski i
mimo woli przypomina sobie
takie rozmowy z ojcem Kon-
radka, który szybko i zgrab-
nie roztrwonil wszystko co
posiadał, i na dodatek posag
Eweliny. Rozmowy z bratem,
huzarem nad huzary, który
trwonil przy stoliku karcia-
nym i w towarzystwie kos-
townych damulek pociągowską
schęde.

W przedziale już mrok. Ocu-
szkodła. Zamyka notes. Nie po-
ra myśleć o pieniądzach. Na-
klada surdut, staje u okna.
Jakaż w Prowansji już wios-
na! Łagodny, piękny wieczór.
Opuszczona szybą, a przecież
nie czuje się chłodu. Błogosła-
wiony klimat. Ale w samej
Marsylii ponoć gruźlica źle
się czuje.

Za plecami szczerk otwiera-
nych drzwi, staje w nich kon-
duktor. Kepi, ceratowy daszek,
bródka a la Napoleon III. Za-
pewne wysłużony wojak. Bo-
browski daje mu znak, by za-
palił lampę.

— Dojeżdżamy? — pyta pa-
trząc na światelka, których za
oknem wagonu coraz więcej.
Całe wzgórze niml obrysy, ba-
rdo to ładnie wygląda. Tam,
u nas, na Ukrainie, miasta bez
takiej iluminacji.

— Dojeżdżamy — mówi ko-
lejarz majstrując przy lampie.
— Szanowny pan jest Rosjani-
nem?

— Obywatel Imperium
rosyjskiego — poprawia Bo-
browski.

— W sąsiednim coupe jedzie
pański rodak — mówi konduk-
tor.

Kłania się po wojskowemu,
pamięta otrzymany purbuar.

Zamyka za sobą drzwi. Zło-
tawy blask lampy. Koła dud-
nią na rozjazdach. Światła
Marsylii przysłonięte murami
jakichś fabryk. Tadeusz Bob-
rowski przez ulotny moment
zastanawia się czy to przypa-
dek, że w całej tej długiej po-
dróży stale towarzyszy mu ów
szczępy młody człowiek z Ki-
jowa, który w Zurychu na
dworcu usiłował nawiązać z
nim rozmowę, przedstawił się
jako Michał Platonowicz Zaj-
cew, student i szlachcic udają-
cy się dla przyjemności i za
poradą lekarzy — pięta, pię-
ta! — na Lazurowe Wybrzeże.
Twarz okolona blond bródką.
Cwiktary. Podejrzana wylew-
ność. Całe życie patrzyli mi na
ręce, myśli Bobrowski, nadzór
policyjny, wizyty sprawników
i żandarmerii. Tyle lat! Czas
przemyknąć. Mam czyste ręce,
niech patrz. Cóż mnie to ob-
chodzi? Mam ważniejsze spra-
wy na głowie. Conrad blessé!

Przedział wypełniał się gry-
zącym w oczy dymem. Trzeba
zamknąć okno. Pociąg wjeżdża
na Gare St Charles.

Fragment powieści — „Sprawa
w Marsylii”.

WACŁAW BILIŃSKI.

Sprawa
w
Marsylii

odpowiedzi, ale i tak domyśla
się, że perłustracje marsyli-
skiej korespondencji, odczyta-
nia telegramu Fehta, przecie-
kły rymszkami biurokratycz-
nych instytucji. I że już wszy-
scy tu, w Kijowie, wiedzą, że
„Conrad blessé, envoyez ar-
gent, arrivez”.

Wreszcie w drogę. Krótkie
przerwy w podróży. Lwów.
Syczeński niedawno jeździł
do Marsylii. Coś wie, Bobrow-
ski jest tego pewny. Lecz ku-
zyn bawi się nadal w konspi-
ratora. Tu, w Galicji, teraz
nic to już nie kosztuje. A
znów jest w modzie.

W Krakowie, w restauracji
kolejowej rozmowa z Busz-
czyńskim. I znów ta gra w
ciuciubabkę. Buszczyński nie
może wybaczyć Tadeuszowi lo-
jalizmu, Bobrowskiego drażnią
mrzonki, które tamten bierze
za prawdę. Szybko więc koń-
czy rozmowę i przed odjazdem
pociągu, w nagłym odruchu,
dorożka na cmentarz. Nieczę-
sty taki sentymentalizm. Po-
chylony nad grobem szwagra
— w skradzionej na medytację
minucie, myśli: Znow jakaś
polityczna kabała? Przekleń-
stwo rodziny!

Pęd, stukot kolejowych kół
tu, na południu Francji. Tade-
usz odmałwia raz jeszcze tę
litanię rodzinnych klęsk. Nie-
szczęść. Przedwczesnych zgo-
now, którym (od dwudziestego
roku życia głowa całej ro-
dziny) nie mógł nigdy zapo-
biec. Najwyższa pora prze-
wać jalone rozważań. Na
Marsylii nie wiliatura cze-
ka. Działać trzeba będzie. O-
kazać całą prawniczą przy-
tomność umysłu. Jedwabne
skarpetki nie wytrzymały tru-
dów podróży. Dziura na pięcie

fan, młokos siedemnastoletni
podróżujący w misjach poli-
tycznych po całej Europie, po-
tem, aż wierzyć się nie chce,
w dwudziestym roku życia na
wzór francuskich geniuszów
czasu Rewolucji przywódca
narodu. A Tadeusz młotający
na Francję przekleństwa — co
za ironia losu! — naz-
wany pogardliwie przez brata
szlachetką sfrancuziałym li-
bertynem! Nie było to żarto-
bliwie przewidziane. Czas był
do żartów. Sierakowski zerwał
z nim przyjazne stosunki. Pad-
lewski groził strykiem, gdy
tylko wybuchnie powstanie. Za
brak wiary w sprawę narodo-
wą. Powstanie wybuchło,
strycki były dla powstańców,
a Tadeusz Bobrowski musiał
opiekować się sierotami i wd-
wami po „rozumnych szaleń-
” bohaterach.

Teraz we Francji waży się
losy Konradka. „Blessé, en-
voyez argent, arrivez”!

Dosyć, dosyć tych rozważań!
Wstał by wyprostować grzbiet.
Stęknął z bólu. Mój garb, po-
myślał z gorczyzą. Skrzywienie
kręgosłupa, przekleństwo dzie-
ciństwa. Ileż godzin jako chło-
pak wisiał na specjalnym
przyrządzie, by naprostować
kręgi. Również używali za-
baw, wolności, bałagunskiej. A
w nim zamiast buntu rodziła
się skłonność do stoickiej fi-
lozofii. Wyprostowano go ze-
szłą na tych machinach do
tortur, w młodości uchodził
nawet za przystojnego. Zach-
wał z tych czasów dagerotyp:
oba twarz, bujne, faliste wło-
sy, wypielegnowana broda.
Trzymał to zdjęcie w familij-
nym albumie, wraz z innymi.
Fascynujący brzydki Apol-
lo Korzeniowski. Posągowej
Eweliny. Z podobiznami dal-

Dalszy ciąg ze str. 1

Idealem wszystkich Polaków. Ideal ten począł mu się jawić, kiedy w toku młodzieńczej działalności sformułował powtarzany przez całe życie pogląd: „Moim zawodem jest wychowanie”. I wychowywał, wierząc głęboko, że „działność jest jakby energią w służbie wartości moralnych... jest fundamentem charakteru, a tylko ludzie z charakterem mogą zbudować lepszy świat”. Definicję tę nie tylko powtarzał. Przede wszystkim — on sam reprezentował tak rozumianą dzielność, był, zgodnie z tym, co sugerował innym, „jednostką przodowniczą”, która „własnym życiem realizowała wartości społeczno-moralne”.

W marcu 1978 roku w najsmutniejszym zaskakującym Powązek jeden z wychowywanych przez harcerstwo „cichociemnych” („Ślaw” — Teodor Cetys) rzucił komendę: „Baczność żołnierze „Zośki” i „Parasola”! Przyszli do Was Aleksander Kamiński!” Słowa miały wiele znaczeń. Również i to, że w szarym szeregu zadumanych brzoźowych krzyży stanie jeszcze jeden krzyż. A w wyobraźni wszystkich, którzy tam byli, to nazwisko i rozpacz ofiarnej śmierci tych pod krzyżami i kamieniami rzuconych na szaniec stały się jednym — legendą dzielności.

Tak wyglądał finał. A na początku było sieroć i los, który nie szczędził zgryzot. Ten los wygnął z kijowskiej szkółki i włożył na barki dwunastoletniego chłopca brzemień odpowiedzialności za byt owdowiałej matki i własny. „Ojciec mój był aptekarzem, matka — chłopką”. On, niedorosły goniąc kijowskiego banku, przeprowadził matkę przez lata starości. I chyba wtedy nie zdawał sobie sprawy, że jego postawę określa przymiotnik, który później wejdzie na stałe do jego filozoficznego leksykonu i legnie u podstaw działania. W zmaganiach z losem nie było buntu, lecz pogłębiające się przekonanie, że obowiązkiem zwykłego człowieka wobec nich nie wybiera, ale wobec nich staje prawem przypadku, musi więc być gotów do ich podejmowania. Przekonanie to przenikało do jego jaźni, być może, w kontaktach z młodocianą biedotą kijowskich ulic, może — w obiecujących nieuchronną gruźlicą wysiłkach, by się utrzymać w humanistycznym gimnazjum. A na pewno dojrzało, kiedy po powrocie do kraju wszedł w społeczność bursy dla chłopców w Pruszkowie. I poznał wtedy ważność życia w grupie, zespołu, związku, zgłębił istotę zbiorowego działania tak dalece, że prawie cała jego późniejsza działalność zawodowa i naukowa nastawiona była na wychowanie w społeczeństwie i dla społeczeństwa.

Osobliwą rolę w życiu Aleksandra Kamińskiego odegrała owa bursa w Pruszkowie. Ktoś, kto jako dziecko miał oparcie w domu rodzinnym, nie wyobrażał sobie takiej bursy jako czegoś atrakcyjnego. Kamiński dostrzegł w niej ułomną społeczność dziecięcą, a więc pole działania dla siebie. Zresztą trafił tam jako, w skali własnego wieku, doświadczony harcerz. Bowiem w Kijowie i Humanii działał wtedy polskie harcerstwo, a on przysięgł lilijce w 1918 roku. Jeszcze tam, na Ukrainie przeszedł kilka stopni hierarchii harcerskiej, toteż chętnie powierzono mu funkcję instruktora w Komendzie Chorągwi Mazowieckiej, a następnie, w roku 1928 został komendantem tej Chorągwi. A przedmiotem jego serdecznego zainteresowania stali się od początku — najmłodsi.

Skauting angielski, zafascynowany kolorowym książką Kiplinga, dał najmłodszym generacji harcerzy miano „wilczków”. Kamiński początkowo przejął to określenie, a nawet je uwiecznił w swojej pierwszej książce „Jak Antek Cwaniak wilczków kształcił”. Raziło to jednak. Bo jakie skojarzenia mogła budzić dzwignia w wyobraźni polskiego chłopaka, zwłaszcza tego wciśniętego w mury miasta, a dopiero odkrywającego, dzięki harcerstwu — cuda rodzimej przyrody? Toteż wkrótce na miejsce tych „wilczków” wprowadził „zuchów” i stworzył cały system wychowania tych najmłodszych, w wyodrębnionej organizacji. W wydanej po raz pierwszy w 1933 roku „Książce wodza zuchów” pisał: „Czym jest zuchowa gałąź harcerstwa? Jest to zabawa dzielnych chłopców w chłopców — zuchów, którzy są odważni w grach i odważni w mówieniu prawdy, którzy są zwinni i zręczni, mają bystre oczy, bystre palce, bystre głowy. Zabawa w majsterklepeków potrafiących wykonać własnoręcznie wiele rzeczy, zabawa w krasnoludków szukających sposobności do rozbicia przyjacielskich usług, zabawa w Leśnych Duchów podpatrujących życie zwierząt i roślin. Zabawa wy-

magająca karności i współdziałania, opanowania poświęcenia. Zabawa prowadzona przez samych chłopców. Radosna, porywająca zabawa, w której nabiera się dobrych przyzwyczajeń. Oto czym jest ruch zuchowy”.

Twórca „metody zuchowej” wychowania określił też relację pomiędzy harcerstwem a zuchami, różnicując tych młodszych innymi stopniami i podporządkowując ich innemu, czteropunktowemu prawu: „1. Zuch kocha Boga i Polskę. 2. Zuch jest dzielny. 3. Wszystkim jest zuchem dobrze. 4. Zuch stara się być coraz lepszy”. Stopnie i prawo to oczywiście tylko formalne uzupełnienie pracy merytorycznej nastawionej na wychowanie dzielnego człowieka i dobrego Polaka. W tę zaś pracę włożył Aleksander Kamiński całe serce i całą energię. Z jego inicjatywy powstała w Nierodzimiu, a następnie Górkach Wielkich (Beskid Śląski) szkoła instruktorów zuchowych przez niego kierowana, a tak zorganizowana, że przyjeżdżali tu na sześciotygodniowe turnusy chłopcy z zadymionego Śląska, uczyli się i bawili, i stanowili materiał, na którym doskonaliła się i rozwijała „metoda zuchowa”. Polegała na przełamaniu tradycyjnej struktury i organizacji klasy i tradycyjnych metod nauczania, przez wprowadzenie głównych elementów wychowawczych Organizacji Zuchowej: zabawy, sprawności oraz atmosfery małej grupy harcerskiej. Doświadczenia nabyte w Nierodzimiu i Górkach rozwinęto następnie i z powodzeniem stosowano aż do wybuchu wojny w trzech klasach szkoły doświadczeń w Mikołowie. „Metoda zuchowa” stała się więc nie wymyśloną przez Kamińskiego teorią, ale praktyczną, sprawdzoną w życiu, wciąż doskonałą metodą wychowywania dzieci w wieku przedharcerskim. Wiśń o jej skuteczności rozeszła się po świecie, skutkiem czego w roku 1934 odbyło się w Górkach Wielkich międzynarodowe sympozjum poświęcone wychowaniu najmłodszych, z udziałem przedstawicieli skautingu z Anglii, Francji, Jugosławii, Estonii, Węgier, Czechosłowacji i Łotwy. Aleksandra Kamińskiego metoda pracy z młodzieżą to trwały dorobek polskiej koncepcji wychowawczej w harcerstwie. Można najogólniej powiedzieć, że „metoda zuchowa” stanowiła ujęcie w systemie zabawy i gry dostosowane do rozwoju psychicznego dzieci i młodzieży, a wzięte z polskiej tradycji spontanicznej rekreacji. Kamiński organizował drużyny zuchowe, prowadził je, ich zaś ideę rozwijał w formie utworów beletrystycznych, takich jak „Antek Cwaniak — książka o zuchach”, „Książka wodza zuchów” czy „Krag Rady”.

Wychodząc z założenia, że „harcerz w każdym widzi bliźniego, a za brata uważa każdego harcerza”, Kamiński wiele wysiłku włożył w ograniczenie ruchem harcerskim młodzieży mniejszości narodowych. Przejął od Baden-Powella przekonanie, że religia stanowi jedną z podstaw ideologii skautowej, przy zastrzeżeniu jednak szerokiej tolerancji religijnej. Wśród funkcji, jakie pełnił w Komendzie Głównej ZHP było też kierowanie Wydziałem Mniejszościowym i za jego zasług należy uznać, że w roku 1937 działało w Polsce sześć drużyn rosyjskich, dwie białoruskie, jedna litewska, stworzył ponadto Związek Żydowskich Drużyn Harcerskich i Gromad Zuchowych i nim kierował.

Te pasje: działania, wychowywania w duchu dzielności, organizowania — nie mogły pozostać bez wpływu na jego postawę w czasie wojny. W październiku 1939 roku zaczął redagować naczelną organ Armii Krajowej — „Biuletyn Informacyjny”. Biuletyn wychodził regularnie, raz na tydzień, aż do powstania, a od chwili jego wybuchu stał się dziennikiem powstańczym i ukazywał się do zakończenia działań bojowych w śródmieściu. Pierwszy jego numer został odbity przez Kamińskiego na powielacz w 90 egzemplarzy. W końcu 1943 roku — ponad 40 tysięcy egzemplarzy rozeszło się po kraju, niosąc prawdę o przebiegu działań wojennych i wiarę w zwycięstwo. Od 1941 roku Aleksander Kamiński pełnił funkcję szefa Biura Informacji i Propagandy Okręgu Stołecznego AK. Poza tym — w latach okupacji ukazały się drukowane w Tajnych Wojskowych Zakładach Wydawniczych jego książki: „Wielka gra”, „Kamienie na szaniec” i „Przodownik”. On był współorganizatorem i członkiem kierownictwa „Szarych Szeregów” i on stworzył konspiracyjną organizację „Wawer”, trudniącą się „małym sabotażem”. Mały sabotaż to niekiedy wroga, a jednocześnie dodawanie ducha społeczeństwu przy pomocy rozklejania nalepek, umieszczania rysunków i napisów na murach miasta, wywieszania



ALEKSANDRA KAMIŃSKIEGO — LEGENDA DZIELNOŚCI

nia flag narodowych, a także wybijania szyb i gazowania służących wrogowi lokalni. Pow szechnie znany „znak Polski walczącej”, znak, który przeszedł do historii tego kraju i w niej zostanie, został wprowadzony przez nich, przez chłopców z „małego sabotażu”.

I tu miejsce na następującą, bardzo istotną informację. Inspirator tych działań niósł w sobie od czasów Humanii i służby wojskowej ciężką chorobę, której rozwojowi warunki wojennej biedy sprzyjały. I właśnie ten chory człowiek był dla okupowanej stolicy ostoją optymizmu.

Po wojnie zaczął się łódzki rozdział w życiu Kamińskiego, a wybór drogi był oczywiście uwarunkowany wciąż nie wygasłymi pasjami i jeszcze bardziej uzrutowanymi doświadczeniami. A więc — w dziedzinie nauki — pedagogika, w pracy społecznej — harcerstwo. Objął funkcję asystenta w Zakładzie Pedagogiki Społecznej u prof. Heleny Radlińskiej. Praca naukowa i społeczna stanowiły jedno, wzajemnie się uzupełniały i gdyby nie czas, który nie sprzyjał nowym poczynaniom w dziedzinie ideologii i wychowania, mielibyśmy, być może, wcielony w życie zdrowy system oświaty i wychowania, miast błąkać się wśród mniej lub bardziej teoretycznie wykombinowanych reform i programów. Temu i owemu zdawało się wówczas, że w dziedzinach tych wiemy już wszystko, wystarczy tylko „wdrążyć”.

Do pracy naukowej wniósł Kamiński przede wszystkim swoje wieloletnie doświadczenie twórczości i prowadzenia związków młodzieży. W wywiadzie dla WTK (Nr 24 z 1977 r.) powiedział m.in.: „Ja jestem tworem związków młodzieży. Moja osobowość jest ukształtowana nie przez rodzinę, nie przez system polityczny, a przez związki młodzieży”. I konsekwentnie — w roku 1947 obronił pracę doktorską na temat: „Nauczanie

i wychowanie metodą harcerską”. W kilkanaście lat później (1960) omówił te sprawy w książce „Aktywizacja i uspołecznienie uczniów w szkole podstawowej”. Wykazał w niej, jak aktualne i cenne pozostały w świetle najnowszych prawd pedagogicznych „sposoby mikołowskie”, czyli wyniki eksperymentu prowadzonego w latach trzydziestych w Mikołowie. Jego głęboka wiedza o związkach młodzieży i ugruntowana doświadczeniem pewność, że przez nie wiedzie droga do ukształtowania nowoczesnego Polaka, kazały mu wnikać głębiej w tę sprawę, po czym podjął próbę opracowania teorii związków młodzieży jako instytucji wychowawczych. Teorię tę oparł o analizę funkcjonowania związków młodzieży polskiej w pierwszej połowie XIX wieku i jako wynik przeprowadzonych badań powstało czterotomowe studium poświęcone historii i teorii polskich związków młodzieży, uni-kalne w literaturze światowej. Uzupełnieniem zaś jego rozważań teoretycznych były artykuły w czasopiśmie fachowym, przeznaczonych dla nauczycieli. Np. „Samorząd młodzieży jako placówka wychowawcza”, „Spółdzielnia uczniowska jako placówka wychowawcza” itp. W dorobku naukowym Aleksandra Kamińskiego widnieje 29 prac oraz ponad 300 artykułów i recenzji. Jest to wynik ogromnego trudu, inwencji twórczej, wiedzy i przekonania o wartości właściwego wychowania młodzieży. Dorobek ten to gotowy, sprawdzony w życiu system wychowawczy, o którego istnieniu i wartości przypomni, miejmy nadzieję, fakt przyznania Aleksandrowi Kamińskiemu Nagrody Miasta Łodzi. Nie mający precedensu fakt przyznania tej Nagrody pośmiertnie ma swoje tło, które warto społeczeństwu uświadomić.

Dawne harcerstwo polskie dowiodło swoją postawą w czasie wojny swoich wysokich wartości moralnych i patriotycznych. Toteż zaraz po wojnie próbowano je wskrzesić. Aleksander Kamiński był nawet czas jakiś wiceprzewodniczącym Związku Harcerstwa Polskiego. Jednakże z powodów, o których mowa była wyżej, doszło wkrótce do reorganizacji, w wyniku której na miejsce ZHP powstała Organizacja Harcerska jako przybudówka Związku Młodzieży Polskiej. Oczywiście nie było w niej miejsca dla ludzi pokroju Aleksandra Kamińskiego. W tym samym mniej więcej czasie i z tych samych mniej więcej powodów na wyższych uczelniach zaczęto likwidować nauki humanistyczne. Humanisci, wśród nich Kamiński, opuścili uczelnie, by wrócić do nich po październiku 1956 roku. Powiał wtedy wiatr sprzyjający autentycznemu harcerstwu i nawet na propozycję ministra oświaty Bieńkowskiego, Aleksander Kamiński objął funkcję przewodniczącego Rady Naczelnej Harcerstwa, grupa zaś dawnych harcmistrzów i harcmistrzynie wróciła do dawnych funkcji. Ale się ich wszystkich wkrótce pozbýło.

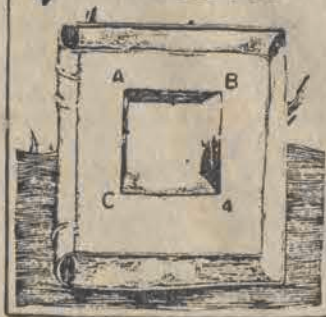
Trzeba więc było ograniczyć się do pracy naukowej. Działając w Łodzi, sięgnął Kamiński m.in. do badań związanych z tym regionem. W roku 1962 ukazała się praca zbiorowa pod redakcją Edwarda Rosseta pt. „Łódź w latach 1945—1960”. Redaktorem części trzeciej: „Nauka, Oświata, Kultura”, a również autorem jednej z rozpraw był Kamiński. On też redagował inną, wydaną w r. 1969 pracę zbiorową pt. „Aktywność kulturalna włókniarzy” oraz uczestniczył w redagowaniu monografii zatytułowanej „Włókniarze”, był wreszcie jednym z prekursorów badań nad sytuacją emerytów. Chyba w uznaniu tych zasług Związek Zawodowy Pracowników Przemysłu Włókienniczego wystąpił w roku 1973 z wnioskiem o przyznanie Aleksandrowi Kamińskiemu Nagrody Miasta Łodzi. Daremnie. Toteż środowisko literackie i naukowe Łodzi, a także każdy, kto docenia wagę właściwego wychowania młodzieży oraz wagę sprawliwej oceny działania ludzi, z zadowoleniem przyjął wiadomość o korekcie dokonanej w roku 1981.

W jednej ze swoich wypowiedzi u schyłku życia Aleksander Kamiński powiedział: „Jeżeli mam swe życzenia przekazać młodym dni dzisiejszych, tym, którzy mnie rozumieją, to na pewno wszystko życzę, aby coraz silniej odczuwali smak „dawania” — znany i nieznanym, żyjącym i tym, którzy żyć będą kiedyś. W dawaniu bowiem rośnie prawdziwa radość życia”.

Spoczywa obok bohaterów „Kamieni na szaniec”, swoich wychowanków i podkomendnych, Zośki, Alka i Rudogo.

JERZY URBANKIEWICZ

Ex LIBRIS
ODGŁOSÓW



„Codziennie powieść w wydaniu dźwiękowym”. Ogłaliśmy także w telewizji inny utwór Bułhakowa, ekranizację powieści „Biała gwardia”, która w wersji scenicznej nosi tytuł „Dni Turbina”. Znała ją również szeroko prace biograficzne Bułhakowa poświęcone Puszkiniowi i Mollerowi. Ale powróćmy do „Powieści teatralnej”. Jest to niedokończona powieść, która odnaleziona w pośmiertnym archiwum pisarza... Opisuje w niej Bułhakow w sposób satyryczny środowisko teatralne i literackie Moskwy z lat dwudziestych. Przedstawia Moskiewski Teatr Artystyczny i dość groteskowy portret jego twórców — Stanisławskiego i Niemolowa-Danczenki. Poza tymi dwiema postaciami Bułhakow przedstawia całą galerię doskonałych typów: począwszy od głównego bohatera — początkującego i nieco przywdobłego pisarza i dramaturga, aż po całą plejadę pisarzy, aktorów i pracowników teatru.

Pomimo że jest to już drugie wydanie „Powieści teatralnej”,

to jednak nakład okazał się zbyt mały, bo książka z księgarni zniknęła błyskawicznie i trudno się dziwić.

Michał Bułhakow „Powieść teatralna”, przekł. Ziemowit Feddecki, Czytelnik, W-wa 1980, str. 200, cena zł 30.—

GIOVANNI BOCCACCIO

Bardzo interesująca seria wydawnicza Wiedzy Powszechnej „Profile” wydała w końcu ubiegłego roku ciekawą pozycję, w całości poświęconą wielkiemu włoskiemu pisarzowi Giovanni Boccaccio. Boccaccio znany w Polsce głównie dzięki „Dekameronowi” i dzięki niemu popularny nie doczekał się wielu opracowań monograficznych. Niniejsza praca stanowiłby pewne kompendium wiedzy zarówno o epoce jak i samym autorze. Przedstawia ona autora „Dekameronu” nie tylko jako pisarza, ale także jako działacza politycznego i społecznego. Bywał wielokrotnie posłem florenckim do papieskiego Awinionu. Został nim nawet już jako autor znanych i dość frywolnych opowiadań, co dowodzi jego doświadczenia i popularności we własnym mieście. Ludzie cenili go jako obywatela, polegali na jego myślenie politycznym i dyplomacji. Trudno uwierzyć w to, czytając jego utwory; lekkie, dowcipne i frywolne opowiadanie o miłości, zdradach i sposobach uwodzenia. Jedynie może zmysł dyplomacji jest w nich widoczny: te podchody, sprzeczki, oświadczenia i powroty są majstersztykiem nie tylko umiejętności pisarskiej, ale także dyplomacji.

Książka jak już wspomnieliśmy wcześniej stanowi kompendium wiedzy o pisarzu i epoce. Zaczyna się wprowadzeniem. Prezentuje w nich Krzysztof Zaboklicki, tzw. do historyczne czasy Boccaccia. Opisuje warunki społeczno-gospodarcze dawnego Włoch ze szczególnym uwzględnieniem Florencji. Prezentuje pisarzy i poetów tworzących równoległe z autorem „Dekameronu”. Tyle we wprowadzeniu. W pozostałej części książki zajmują się już tylko samym Boccacciem. Opisując w sposób chronologiczny życie autora prezentuje jego utwory, przytacza historie ich powstania. Książka obszernie ilustrowana i opatrzona bibliografią przyda się niewątpliwie nie tylko w bibliotekach szkolnych, ale także w domowych.

Krzysztof Zaboklicki „Giovanni Boccaccio”, Wiedza Powszechna, W-wa 1980, str. 289, cena zł 75.—

NIE BĄDŹ KIEPI

Brunon Rajca — znany nie tylko w Krakowie dziennikarz, pracuje w „Gazecie Południowej”, a swoje felietony drukuje stale także w „Życiu Literackim”, „Szpilkach”, „Przemianach” i „Kamieniu”. Jest twórcą i autorem kabaretu literacko politycznego „Kurierski” w Krakowie, a także autorem współczesnego widowiska estradowego, napisanego specjalnie na zamknięty konkurs zorganizowany przez „Estradę Poznańską” i Ministerstwo Kultury i Sztuki. Warto dodać, że jest tego konkursu laureatem. Ponadto jest autorem dramatycznym. Teatr Polski w Poznaniu oraz Teatr im. L. Solskiego w Tarnowie wznawiają jego farsę „Stan wyjątkowy”.

Pod koniec ubiegłego roku ukazał się zbiorek felietonów Brunona Rajcy wydany przez KAW. Reklamować go specjalnie nie trzeba. Zrobiło to doskonale radio. Jeden z programów „Cztery pory roku” rozgłoszono krakowska nowością Brunonowi Rajcy i temu właśnie tomikowi. Czytano obszernie fragmenty felietonów lub przytaczano je w całości. Przeprowadzono rozmowę z autorem, jego żoną i przyjaciółmi. Audycja trwała 3,5 godziny, zbiorek ma 168 stron formatu kieszonkowego. Dla informacji więc tylko podaje, że zbiorek zawiera wybór notatek z lat 1974—1977. Felietony pogrupowane są tematycznie i ułożone w rozdziały. Sam zbiorek powstał, jak pisze dowcipnie Rajca w przedmowie, jako świadectwo jego umiejętności felietonisty. Jest to świadectwo doskonałe. Każdy z felietonów jest majstersztykiem pisarskim. Lekkość stylu, dowcip i doskonałość języka tworzą tu znakomitą harmonię. Poza tym przekazuje niepowtarzalny klimat starego Krakowa z jego mieszkańcami, nieco smutnymi i nie, ale przywiązani do swojego miasta, jego historii i tego co dzieje się w nim obecnie.

Brunon Rajca „Nie bądź kiepi” KAW, W-wa 1980, str. 168, cena zł 22.—

Nie wiemy, czego się trzymać: koguta, czy małpy? „Przekrój” maluje na okładce wielkiego, kolorowego koguta, a wewnątrz numeru tłumaczy: „Według japońskiego kalendarza zwyczajowego, opartego na wschodnim zodiaku, rok 1981 znajduje się pod znakiem Koguta”. Nie wiemy, co to jest „wschodni zodiak”, ale już prawie wierzymy w zwyczajowy kalendarz, gdy oto bierzemy do rąk poważny tygodnik, „Poli-tykę”, i czytamy: „Według azjatyckiego kalendarza w 1980 ro-

ku zakończył się rok Kozy i zaczął rok Małpy”... No i co teraz? Pod jakim zwyczajowym zodiakiem japońsko-azjatyckim żyjemy? Albo inaczej: po co w ogóle to całe pustostanie, ten bełkot ani dowcipny, ani do czegośkolwiek przydatny, ani prawdopodobnie nie mający nic wspólnego z prawdziwymi zwyczajami Wschodu?

KOGUT CZY MAŁPA?

W każdym razie nasz własny, rodzimy nowy rok zaczął się fatalnie, czyli trochę do śmiechu, trochę do płaczu. W tym samym „kogutim” numerze „Przekroju” czytamy że w styczniu będą wolne soboty w dniach 10 i 24. Numer bowiem był drukowany tydzień wcześniej i redakcja nie mogła wiedzieć, że w piątek rano, tzn. 2 stycznia zapadnie decyzja dodatkowego świętowania następnego dnia, czyli soboty 3 stycznia. Nikt tego nie mógł wie-

chwili, choćby w owej piątkowej prasie, że w sobotę mimo wolnego od pracy dnia będą czynne niektóre sklepy i — co ważniejsze — że będą bieżące zaopatrzone w mleko i świeże pieczywo. To sobotnie zaopatrzenie okazało się bogatsze od piątkowego, tylko że mało kto się tym interesował. Ludziska żuli przez trzy dni ciężko zdobyty piątkowy chleb, a ten sobotni całymi skrzyniami wynoszono ze sklepów w poniedziałek, zeschły na kamień, nadając się już tylko na przemiał. Całymi skrzyniami wynoszono też mleko, oczywiście zsiadłe, skisłe, podeszłe wodą pod trzy czwarte zawartości. W kioskach Ruchu — nie wiem już, czym to tłumaczyć — pozostały całesterty nie rozprzedanych sobotnich dzienników, ale to już mniej bulwersuje niż ten chleb i mleko. Nie powtarzam tu żadnych zasłyszanych plotek, piszę,

co oglądałem na własne oczy w sklepach mojej śródmiejskiej dzielnicy. Tyle, że nie powtarzam dosłownie komentarzy takich jak ja widzów, bo byłoby to słowa nieczczone.

Chleb mamy o połowę tańszy od ziemniaków, co jest jeszcze jednym malowniczym szczegółem naszego rynkowego krajobrazu. Czyż nie jest oczywiste, że świnię będzie się karmić — a już się to robi — chlebem, zamiast parzonymi ziemniakami? Pomyślcie tylko: ileż to pracy trzeba zużyć pomiędzy zasianiem zboża a upieczeniem bułki i doprowadzeniem jej co dzień rano do tysięcy sklepików! Całą tę pracę rzucamy potem niedbałym gestem do świniskiego koryta — częściowo zresztą po to, żeby później, gdy świnka podrośnie i utyje, nie przyjął jej punkt skupu z powodu „nienadążania uboju za podażą żywca”.

Coś niebywałego. Setki tysięcy ludzi marnuje zdrowie i czas w kolejkach po rąbanek. Setki tysięcy rencistów zrywa się o świcie, żeby zdążyć złapać bochenek świeżego chleba lub — rarytas! — angelkę. Jednocześnie ten chleb i te angelki ciska się na żer nierogaciznie, której nie ma kto zarządzić i która czekając na ubój w rzeźniach traci w ostatnich dniach żywota te dziesiątki kilogramów słoniny i mięsa, których nabyła kosztami wielu wyrzeczonych gospodarzy. Śmiać się czy płakać?

Do tego wszystkiego „decy-denci” potracili głowy i o wolnej sobocie decydują w piątek. Szczyt organizacji! Czy tak ma przebiegać cały ten nieszczesny rok 1981? Kto mu wreszcie patronuje z gwiazdnych wysokości: kogut, czy małpa?

CWIEK

BŁĄKA SIĘ NOWE

Wszyscy mówią, że „idzie nowe”. Sceptycy dodają, że „idzie i dojdzie nie może”. Podobno nowe nawet do sportu przyszło, tylko, że nikt nie wie, jak ono wygląda i wobec tego są wątpliwości, czy nowe do sportu już doszło, czy jeszcze nie. A ponieważ nikt nie wie, jak to nowe w sporcie ma wyglądać, więc błąka się ono po sportowych bezdrożach i cichutko popłakuje. Ma nadzieję, że ktoś je w końcu przygarnie. Ale płonna to nadzieja, bo wszyscy są tak zajęci naprawianiem sportu, że nie mają absolutnie czasu na zajmowanie się nowym. Błąka się więc nowe nadal i wszystko wskazuje na to, że do sportu jednak nie wejdzie. Dyskusje wygasną i w sporcie pozostanie stare.

Wiemy przecież, że ze sportem u nas nie najlepiej. Po sierpniu 1980 roku wynikła sprawa finansowania sportu. Niektóre zakłady zbuntowały się i nie chciały łożyć na swoje kluby, uznając sportowców za darmozjadów. Zapędzono więc teraz sportowców do pracy. Na przykład, piłkarze mają martwy sezon, więc piłkarzy Zagłębia Sosnowiec zatrudniono przy budowie hali sportowej w Zabrze, a Stali Mielec przy produkcji pomocniczego sprzętu sportowego. Nie wiem zupełnie, czy to jest to, o co chodzi. Jestem za likwidacją fikcyjnych etatów, ale znów nie przez fikcyjną pracę. Nie bardzo bowiem wierzę w murarskie zdolności piłkarzy z Sosnowca. Nie jestem też pewna, czy piłkarze RTS Widzew, albo ŁKS, gdyby stanęli przy maszynach we włókienniczych fabrykach, to na coś by się przdyali. Nie o to wcale chodzi. Chodzi po prostu o pewną jasność sytuacji. Jeśli załoga godzi się na utrzymywanie klubu, to chce mieć pewność, że działający tam zawodnicy będą swoją rolę traktowali poważnie i zasużą na pieniądze, jakie im się za to daje. I żeby było wiadomo, kto i za co dostaje pieniądze. Robotnicy WSK Mielec sprzeciwiali się placeniu na klub sportowy, nie dlatego, że im się sport w ogóle nie podoba, ale dlatego, że mielecka Stal grała na żenującym poziomie. Była to więc dezaprobata dla lenistwa.

To i ówdzie szuka się nowych rozwiązań. Specjaliści zastanawiają się, jak oprzeć sport na nowych zasadach? Jedno jest pewne: nie stać nas na powołanie do życia klubów, które byłyby samodzielnymi przedsiębiorstwami, same by zarabiała na siebie, na utrzymanie personelu i sportowców oraz na inwestycje sportowe. Nie stać nas dlatego, że nie mamy klubów, tak doskonale wyposażonych w urządzenia techniczne i bazę materialną, aby mogły one przy jej pomocy same zarabiać na siebie. Trzeba więc wrócić do idei klubów fabrycznych, klubów utrzymywanych przez związki zawodowe, przez państwo wreszcie. Jaki tu wybrać model?

Proponuje się stypendia dla sportowców i trenerów. Pomyśl o nienowym. Ma on wszakże swoje braki. Nie daje odpowiedzi na pytanie: kto sportowcom i trenerom zapewni wszelkie niezbędne prawa do korzystania ze świadczeń socjalnych? Na przykład: kto im teraz przydzieli kartki na cukier, czy na mięso? W tej sytuacji ZZ Górników wysunął inny projekt, opierający się na obowiązujących przepisach, aby powoływać zakładowe, bądź międzyzakładowe ośrodki rekreacji, sportu i kultury fizycznej współdziałające z przedsiębiorstwem opiekującym się tymi, które zajmowałyby się administrowaniem obiektami sportowymi, placami, zatrudnieniem oraz byłyby pośrednikami między klubami i załogami. W wypadku konfliktu załogi ze sportowcem pozostaje on nadal w dyspozycji klubu, gdyż klub i ośrodek każdy w połowie go opłaca. Ale ten pomysł nie znajduje uznania Ministerstwa Oświaty, bo ono w ogóle ucieszyło się, że „sport ma z głowy”.

Nie wiem, w jakim kierunku potoczy się dalsza dyskusja, ale gdybym mogła wyrazić swoje zdanie, to bym bardzo przestrzegała, aby nie wylać dziecka razem z kąpielą. I chciałabym przypomnieć, że potrzebny nam jest szeroki, społeczny program rozbudowy obiektów sportowych, że potrzebne są sale gimnastyczne w szkołach, boiska przyszkolne, hale sportowe, lodowiska, dobry sprzęt i oddani sportowi nauczyciele oraz trenerzy. Tak, aby w perspektywie lat najbliższych znacząco podnieść sprawność fizyczną i wzmocnić zdrowie już nie tylko młodzieży, ale i nas wszystkich. Jeśli naród nasz ma się dalej prawidłowo rozwijać, to musi to być zdrowy naród.

Popatrzmy więc uważnie, czy wśród nas nie błąka się gdzieś nowe.

BOGDA MADEJ

TELEWIZJA

Chciałbym wrócić do jednego z wątków mojego tekstu z ubiegłego tygodnia. Otóż cytując wywiad z przewodniczącym Komitetu do spraw Radia i Telewizji Zdzisławem Balicem, przytoczyłem następujące słowa: „Musimy liczyć się z tym, że w najbliższym roku będziemy funkcjonować w bardzo trudnych warunkach finansowych, szczególnie jeśli chodzi o dewizy. Nie obejdzie się bez cięć programowych”. Stąd tutaj tego felietonu. Natychmiast jednak opatrzyłem go znakiem zapytania. Bo co to znaczy? Jeśli prorokujemy „lata chude”, to tym samym wyrażamy opinie, iż lata, które minęły należy uznać za „tłuste”. Według jakich kryteriów? I czy rzeczywiście były one „tłuste”?

Na program telewizyjny składają się dwa zakresy działań: po pierwsze, jest telewizja reprodukcyjna wartości wytworzonych poza nią. Myślę tu przede wszystkim o tej olbrzymiej ilości filmów fabularnych, dokumentalnych i innych, które pochłania rokrocznie program tv. Filmy te są wciąż i będą zawsze, najatrakcyjniejszym elementem codziennego programu. Ponieważ rodzima produkcja wypełnia owe zapotrzebowania w bardzo skromnym procencie (tu trzeba pamiętać jeszcze o drańskich zasadach, że film może być przedstawił w tv w pięć lat po jego kinowej premierze), zdecydowanie przeważająca część filmów to zakupy zagraniczne, w tym dewizo-

we. Czy należy tu oszczędzać? Mam wątpliwości, zwłaszcza jeśli pomyślę o szokujących ograniczeniach w zakupach filmów na duże ekrany. Gdyby jeszcze telewizja poszła w oszczędnościowe ślady kinematografii, to zostalibyśmy odcieci od tego co jest solą w kulturze XX-wiecznej. Owszem kupujemy mniej, ale niechaj te decyzje handlowe będą przemysłowe. Zamiast ściągac przed telewizory widzów byle głupstwem telewizyjnym, trzeba pamiętać, że jej (cokolwiek mówilibyśmy o rozsądku decyzje) mają charakter, by tak rzec, inercyjny i dajmy im czas na inne kontakty z kulturą. Wyświetlajmy filmy, które są warte tego. Wiem, że odgrywają tu rolę także względy pozafinansowe. Rozpatrzmy je zatem jeszcze raz. Może okazać się pewnikami pozornymi.

W tym pierwszym zakresie działań programowych tv, który określiłem „reprodukcyjną” mieszczą się inne jeszcze formy transmitowania wartości kulturowych w najszerszym tego słowa znaczeniu, na przykład sport. Trudno tu się rzetelnie wypowiadać. Nie znam przecież udziału procentowego redakcji sportowej w budżecie TVP. Wiadomo, że kosztą praw przekazywania wielkich imprez sportowych są niebagatelne. Patrząc jednak wstecz można byłoby odnieść wrażenie, że TVP wielokrotnie ekscytowała nas czymś, co na taką ekscytację nie zasługiwało. Niekiedy nasuwała się refleksja, że wielkie sportowe halo, prokurowane

przez tv miało charakter zastępczy w stosunku do spraw i problemów rzeczywistych.

Drugi zakres działań telewizji, wracając do głównego wątku tego felietonu, to tworzenie programów własnych, oryginalnych, które w decydujący sposób określają właściwości tv jako autonomicznej formy przekazu, które nakładają na tv obowiązki XI muzy. Ponieważ w tym zakresie działań obciążenia budżeto-

niż skromne osiągnięcia. Posługuję się czasem przeszłym, bo — o ile mi wiadomo — Studio Michała Jagiełły już nie istnieje, choć jego reanenty będziemy chyba jeszcze oglądać. Przepatrzania wymaga także „Teatr Tv”. Moim zdaniem, w tym zakresie, powinno się znaleźć jakieś właściwe propozycje między tym, co zamyka się w haśle upowszechniania sztuki teatralnej, a tym, co może być (nie zawsze było) twórczym dzia-

telewizyjny. I tu trzeba jego sytuację w TVP rozważyć szczegółowo. Dotychczasowe koncepcje istnienia filmu tv uwikłane były w dyalekt: serial czy filmy pojedyncze. Choć i tu główny kłopot TVP zechce mieć wiele do powiedzenia, że byłoby, aby on właśnie miał słowo ostatnie. Właśnie odbyła się premiera pierwszego odcinka serialu Jerzego Janickiego, Andrzeja Mularczyka i Jana Łomnickiego „Dom”. Po wyświetleniu siódmego odcinka, który zakończył część I serialu do problematyki filmu telewizyjnego powró-

ce. Ktoś dobrze obeznany z działalnością TVP powiedział mi, że jeśli telewizja otworzy swoje magazyny z programami, które czekają (z różnych powodów) na emisję, nie musimy się obawiać, przez parę dobrych miesięcy, o wartość tego co na małym ekranie będziemy oglądać. Prawdźwie to optymistyczne zakończenie dla felietonu z dość pesymistycznym tytułem.

GRZEGORZ GAZDA

P.S. A swoją drogą ciekawy jestem, czy to prawda, że nasza opłata abonamentowa (40 zł x — circa 8 mln x 12 miesięcy = 3 mld 840 mln!) pobiera „Łączność” a nie Radiokomitet? Zresztą nie w retencji (jak słusznie mówił m. in. Teichma na spotkaniu transmitowanym w niedzielę przez LOTV) należy szukać argumentów w obronie kultury.

ZAMIAST RECENZJI

PRZYCMIONE ŚWIATŁO, KOBIETY I PASZTETOWA

Właśnie zdejmowaliśmy płaszcze w szatni, gdy zaszła nas od tyłu doktorowa Dużogorsza. — Nie radzę wam tak się od razu rozbierać — powiedziała ledwo dosłyszalnym szeptem, odciągając nas na bok. — Ależ spocimy się na sali — powiedziała Ciotka rozpoczynając futuro z topielic. — Zwykle panuje tam dość gorąca atmosfera. — Nie dzisiaj — rzekła doktorowa — rozglądając się szybko wokół. — Styszałam, że nie będą wydawać... — Jak kto — oburzyła się moja Narzeczona. — Przecież dostatam numerek. — To jeszcze o niczym nie świadczy — szepnęła doktorowa. — Trzeba przecież zmiliść czujność przeciwników. — Rozumiem — powiedziała Ciotka. — Chodzi pani o tych, co siedzą na galerii i gwizdzą na wszystkich. — Broń Boże — zachnęła się doktorowa. — To jest młodzież i musi znaleźć sobie ujście. Chodzi o tych co ani nie siedzą, ani nie gwizdzą... Czekają — dodała po chwili, widząc

nasze zdumione miny. — Dlatego dyrektor wydał kategoryczny zakaz wydawania okrzyków w szatni. Poza tym frekwencja ostatnio znacznie spadła.

— Na koncertach? — zdumiała się Ciotka. — Przecież i tak już nikt tego nie słucha. — W kuliach — odparła poczerwieniała z podniecenia doktorowa Dużogorsza. — Dyrektor chce przenieść atmosferę z góry na dół. — W końcu to tylko jedno piętro — zauważyłem. — Chociaż schody lada dzień grożą zawaleniem.

— Ale, gdy sufit spadnie na podłogę — dodała moja Narzeczona — wtedy wypełnią się słowa poety o tym ideale, co sięgnął bruku. — Trudno...

— Nie wymydrzaj się moje dziecko — przerwała jej Ciotka. — Teraz już wszyscy są mądrzy i nie sprawa to żadnego wrażenia. Mimo to — rzekła, rozglądając się po szatni — tutaj można przynajmniej otworzyć drzwi i zawsze wtargnie nieco świeżego powietrza. — Co też pani mówi — oburzyła się doktorowa. — Drzwi będą prawdopodobnie zamknięte bo — tu przyciągnęła nas do siebie — będą rozdawane kanapki.

— Mam nadzieję, że grubo posmarowane — powiedziała Ciotka. — Ostatnio przyzwyczaiłam się do gładkiego przelżykania. — A co będzie do popicia? — spytała ostentacyjnie moja Narzeczona. — Od dłuższego czasu czuję, że coś mi stanęło w gardle. Chyba to kość.

Doktorowa zniżyła głos do ledwie dosłyszalnego mrużącando.

— Czy pani — dmuchnęła w ucho Narzeczona — nie jest przypadkiem elementem? Ale

niech mnie pani źle nie zrozumie, element ma dostać tylko zatuszowane serwetki, nie można dopuścić, żeby tak bezkarnie wyginął.

— A jeśli nawet — odparła wymijająco Narzeczona — to przecież można będzie udławić się tą bibulą! Czy nic się do picia nie przewidyuje?

— Więc pijmy, więc pijmy za zdrowie miłości — zanuciła Ciotka Traviatę i nagle ucicha.

Światło nieznacznie przygasło. Inżynier Bełt wyłonił się z tłumy i dopadł nas nim zdążyliśmy się rozproszyć.

— Ach ta atmosfera — zawołał — pełna gorączkowego podniecenia i zakulisowych rozmów!

— Mówiliśmy o jedzeniu — powiedziała obójnie Narzeczona, wyjmując bagietkę z torby. — Może się pan poczestuje?

— O — rzekł Bełt, odłupując piętę — widzę, że robi się nastrój. Nie czujecie powietru czegoś nieuchwytnego?

— To tylko wentylacja — powiedziała Ciotka, głęboko wciągając duszne powietrze. — Za moich czasów nie było takich udogodnień. Służba musiała dmuchać przez dziurki od kluczy, aby państwo nie podusiło się w śtechliźnie. Na szczęście nauka bardzo poszła naprzód. — Nadzwyczajny postępek — zauważyła doktorowa. — W moich czasach na przykład nikt już się nie nadymał, a i tak było czuć skąd wieje.

Światło przygasło ponownie, lecz tym razem zdecydowanie.

— Czy wtedy były już bagietki? — zainteresowała się jednym z minionych okresów Narzeczona.

— Wtedy — rozmarzył się inżynier Bełt — ludziom bardzo psuły się zęby od niewłaściwego jedzenia. Wskaźnik zużycia plomb wzrastał co roku o 100 proc. na tward. Cate szczęście, że sprowadziliśmy teraz te kanapki z karasiami. Realizacja tej operacji była wyjątkowo korzystna dla obu stron. Nam pozwoliła złagodzić trudności w zaopatrzeniu, a im umożliwiła upłynięcie posiadanych nadwyżek. Mogliby się biedacy zadusić nadmiarem jedzenia.

— A czym nas będą poić? — przypomniała sobie nagle moja Narzeczona. — Czy także czymś z importu?

— Skądże — zawołał Bełt — wody nam jeszcze nie brakuje, a nawet w wielu miejscach przekroczyła ona już stan alarmowy.

— Chyba dlatego, że ryby ostatnio przestają ją pić — stwierdziła Ciotka.

— A co, strąkują? — zainteresowała się doktorowa.

— Wydzyszały — lakonicznie odparła Ciotka. Światło zgasiło zupełnie, szatniarki zaczęły roznosić kanapki, a ja zaproponowałem żebyśmy opuścili gmach filharmonii.

— Nic z tego — powiedział inżynier Bełt — woźni zamknęli wszystkie drzwi. Dopóki każdy nie zje swojej kanapki, nikt nie zostanie wypuszczony.

— Znow ten przesyt — krzyknęła z rezygnacją Ciotka. — I znow ta długotrwała czkawka.

Po czym wgrzyza się w coś, czego zupełnie nie można było dostrzec.

JACEK KRAKOWSKI